

ABIGAIL THOMAS

ŻYCIE NA TRZY PSY

Przełożyła

Maria Olejniczak - Skarsgård

Dla Sally

*Gdy przychodziły zimne noce,
australijscy aborygeni spali z psami,
żeby się ogrzać. Wyjątkowo zimną noc
nazywali nocą na trzy psy.*

Wikipedia

Serdeczne podziękowania składam Agnes Wilkie i Jill Aguanno za wnikliwość, mądrość i współczucie oraz za to, że potrafią mnie rozśmieszyć.

Moją wdzięczność zechce przyjąć także Chuck Verrill, najlepszy przyjaciel, za to, że rozumie wszystko w każdych okolicznościach.

**Część
pierwsza**

TO, CO SIĘ NIE ZMIENIA

Nie zmienia się tylko jedno: mój mąż miał wypadek. Wszystko inne się zmienia. Mój wnuk raz mnie potrzebuje, a raz nie. Moje dzieci utrzymują bliskie kontakty, a potem któreś z nich się odsuwa. Palę papierosy i rzucam palenie. Robię na drutach poncha, później kapelusze, szale, znowu kapelusze, przestaję robić na drutach i znowu zaczynam. Zegar tyka, jedna pora roku przechodzi w drugą, nocne niebo się przeobraża, lecz mój mąż ciągle jest w takim samym stanie, jego obrażenia są trwałe. On daje mi poczucie pewności. Sprawia, że błyszczę. Przy Richu mogę na siebie liczyć.

Mieszkam w przytulnym, ładnie umeblowanym domu. Tu mijają mi czas. Jest kominek, osiemdziesiąt arów ziemi i są psy, które biegają wokoło i kopią dołki, lecz wcale się tym nie przejmuję. Mam dwudziestosiedmiocalowy telewizor i mnóstwo filmów. Często słyszę dzwonek telefonu. Rich tkwi w tej jednej bieżącej chwili, po której nigdy nie następuje kolejna. W zeszłym tygodniu leżałam na jego łóżku w domu opieki i patrzyłam, co robi. Ponieważ znajdowałam się poza jego polem widzenia, pewnie zapomniał o mojej obecności. Stał nieruchomo, potem wziął gazetę z wierzchu równo ułożonego stosu, potrzymał i ostrożnie odłożył na miejsce. Opuścił ręce wzdłuż ciała. Wyglądał tak, jakby czekał na następne zdarzenie, ale następnego zdarzenia nie ma.

Mnie została przeszłość i przyszłość. Takie karty przypadły mi w tym niefortunnym rozdaniu. Wiem, co się stało, i nie mogę do tego przywyknąć. Gdy mam wrażenie, że wszystko już przetrawiłam, zaraz coś miesza mi szyki. „Rich częściowo stracił wzrok”, tak się wyrażam; niedawno usłyszałam, jak Sally, córka mego męża, mówi do pielęgniarki:

„On nie widzi na prawe oko”, i nagle miałam wrażenie, że wyrwano mnie z bezpiecznego czasu przeszłego i wrzucono w teraźniejszość.

Dziś jadę samochodem do sklepu z włóczką. Wchodzę, trzymając w ręku pióro i otwarty zeszyt.

- Co robisz? - pyta Paul.

- Przeprowadzam ankietę. Powiedz mi, co jest niezmiennie w twoim życiu.

- James - odpowiada natychmiast.

- A James pewnie powie, że Paul - mówię, zapisując w zeszycie słowo „James”.

- Skądże! Powie, że psy - śmieje się Paul.

- Kreatywność - powiada genialna Heidi.

- Muszę się zastanowić - powiada nieznajoma kobieta.

- Psy - powiada James.

Wraz z mężem miałam kiedyś dom. Rich był ogrodnikiem co się zowie. Przekopywał i grabił grządki, sadił rośliny i wyrwał chwasty, z dumą spoglądał na swoje dzieło. Szczególnie interesowały go trawy ozdobne. Kiedyś wyciął moje ostróżki i na ich miejscu posadził rozplenicę. „Nie zauważyłeś ich?”, zapytałam. „Były takie piękne i okazałe”. On kopał jednak zapamiętałe i w ogóle mnie nie słyszał. Straciłam zainteresowanie kwiatami. Swego czasu posadziliśmy pod oknem kuchennym hortensję bukietową. Wycięliśmy (po długich naradach) dwa duże cierniste krzewy, które niczym zrosnięte brwi stykały się ze sobą nad wąską ścieżką. Poczekaliśmy, aż ptaki odchowają młode, a

potem na miejscu wykopanych krzewów Rich posadził jeszcze dwie hortensje. Nie mam ochoty oglądać ich teraz, patrzeć, jak wysoko wyrosły, jak pięknie wyglądają w deszczu ciężkie, białe kwiaty. „Wspaniale zajmujesz się ogrodem”, powiedziała moja przyjaciółka Claudette na widok grządki wyrosniętych pokrzyw za domem. Oczyszczałam ten teren z chwastów jeden jedyny raz. Zamierzam posadzić tam rozplenicę, ale najpierw muszę zamówić koparkę.

Rich i ja nie mamy lepszych i gorszych dni, jak to bywa w małżeństwie. Ja nie tracę cierpliwości. On nie musi łamać sobie głowy, czym się zajmie na emeryturze, Nie przyglądam się, jak podczas wakacji chodzi smutny, bo ogarnęła go tęsknota za dziećmi. W zeszłym tygodniu szliśmy korytarzem do jego pokoju, był listopad, spędziliśmy razem całe popołudnie.

- Gdyby nie było cię przy mnie i gdyby nas nie karmiono, moja dusza pogrążyłaby się w ciemnościach - rzekł pogodnym tonem.

Rich nie zdaje sobie sprawy, że wychodzę, dopóki nie znajdę się za drzwiami.

**Część
druga**

WYPADEK

Poznałam męża przed dwunastoma laty, gdy odpowiedział na drobne ogłoszenie, które zamieściłam w „New York Review of Books”. Spotkaliśmy się w restauracji Moon Palace na rogu Broadwayu i Sto Dwunastej Ulicy. Ponieważ padało, miał ze sobą duży parasol. Zamówiliśmy wołowinę z szalotką dla niego i dzwonka ryby sauté dla mnie. Po pięciu minutach uświadomiłam sobie, że rozmawiam z najsympatyczniejszym mężczyzną na świecie, a gdy trzynaste dni później poprosił mnie o rękę, przyjął jego oświadczenia. Miał pięćdziesiąt siedem lat, ja - czterdzieści sześć. Po co było zwlekać? Nadal przechowujemy ten numer czasopisma. Gdy patrzyłam na stronę pełną ogłoszeń, a wśród nich na moje, jedyne zakreślone przez niego, czułam, jak niepewny był ten uśmiech losu. „Dziękuję ci za najszczęśliwszy rok w moim życiu” - napisał Rich w pierwszą rocznicę naszego ślubu. Wyobrażaliśmy sobie, że na starość siedzimy na werandzie od frontu, dodajemy sobie otuchy, jesteśmy razem do końca naszych dni. Ale życie płynie meandrami. Raz się człowiekowi wiedzie, raz nie.

Wczoraj w szpitalu, gdy siedziałam przy łóżku męża, odezwał się natarczywym tonem:

- Czy mogłabyś przesunąć mnie o czterdzieści dwa tysiące kilometrów w lewo?

- Dobrze - odparłam, nie ruszając się z krzesła.

- Dziękuję - rzekł po chwili i dodał zdziwiony: - Nic nie czułem.

- Nie ma za co - powiedziałam.

- Jesteśmy sami? - zapytał.

- Tak - odrzekłam. Salowa właśnie wyszła na chwilę z sali.

- Co się stało ze Stacy i z flądą?

I wtedy zrozumiałam, czym dla niego jest ta sala szpitalna - swego rodzaju zupą pierwotną z pomroki dziejów, atmosferą, w której przepływająca w powietrzu flądra wcale nie budzi zdziwienia. Ten obraz wciąż pozostaje mi w pamięci.

W przyszłym tygodniu mój mąż przejdzie operację mózgu. Dzisiaj siedzę na ławce w psim parku. Pogoda jest stonowana, jak powiedziała by Rich. W tym parku próbuję zrozumieć stan rzeczy, uporządkować je, poskromić to, co się wydarzyło. Nasz beagle Harry okrąża wybieg dla psów, wodząc nosem przy ziemi. Jest samotnikiem. Ja też siedzę sama, ale na wszystko zwracam uwagę. „Cierpienie jest najwspanialszym nauczycielem”, dawno temu oświadczył mój stary przyjaciel. „Uczy dostrzegać szczegóły”. Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Teraz wiem. Obserwuję psy, jakiegoś malutkiego jamnika, tak chudego, że przypomina pociągnięcie piórkiem do kaligrafii. Starszy pan z bardzo młodym chow - chow pochyla się, żeby pogłaskać mojego psa. Harry odskakuje.

- Doskonale - mówi inny pan zapytany, jak się miewa.

Minęło wiele czasu, od kiedy tak odpowiadałam na to pytanie.

W poniedziałek, dwudziestego czwartego kwietnia, o dziewiątej czterdzieści wieczorem, nasz portier, Pedro, zadzwonił do mnie domofonem.

- Pani pies jest w windzie - powiedział.

W tej samej chwili, jak mi się wydaje, zrozumiałam, że świat zmienił się na zawsze.

- Pies? - zapytałam. - A gdzie jest mój mąż?

- Nie wiem. Ale lokator spod HE wiezie windą pani psa. Trzeba

zaraz go odebrać.

Wyszłam w szlafroku na korytarz. Otworzyły się drzwi windy i zabrałam Harry'ego.

- Gdzie jest mój mąż? - zapytałam ponownie.

Sąsiad nie miał pojęcia. Harry się trząsał. Rich szaleje z niepokoju, pomyślałam. I znowu zabrzączał domofon.

- Pani mąż został potrącony przez samochód - rzekł Pedro. - Na rogu Sto Trzynastej i Riverside. Niech pani tam biegnie.

To niemożliwe, niemożliwe. Gdzie postawiłam buty? Gdzie jest spódnica? Robiłam wszystko w zwolnionym tempie, jak zanurzona w wodzie. Zajrzałam pod łóżko, znalazłam lewy but, chwyciłam sweter, który wisiał na oparciu krzesła. To nie może być nic poważnego. Narzuciłam ubranie i wsiadłam do windy. Popędziłam Riverside, a widząc gromadę ludzi na chodniku przed sobą, zaczęłam biec jeszcze szybciej i wykrzykiwać imię męża. Cóż za wypadek mógł przyciągnąć taki tłum?

Zobaczyłam, że mąż leży w kałuży krwi, ma rozbitą głowę. Czerwone lampy migotały na wozach policyjnych i pojazdach służb ratowniczych; przy ciele klęczeli ludzie z pogotowia. „Nie można przeszkadzać im w pracy”, powiedział do mnie policjant, gdy udało mi się przepchnąć do Richa i znaleźć na tyle blisko, że mogłam dotknąć jego ręki. Rozcinano na nim ubranie, po kolei wiatrówkę, flanelową koszulę. Ktoś mnie odciągnął. „Proszę nie patrzeć”, usłyszałam męski głos. Ale ja chciałam patrzeć, chciałam mieć go na oku. Jakiś funkcjonariusz zadawał mi pytania. „Pani jest żoną? Jego nazwisko? Data urodzenia? Jak się pani nazywa? Miejsce zamieszkania?”. Potem widziałam, jak kładą Richa na noszach i ładują do karetki. Chciałam też się zabrać, ale odjechali

błyskawicznie, beze mnie. Policjant zawiózł mnie na izbę przyjęć szpitala świętego Łukasza, trzy przecznice dalej. Towarzyszył mi administrator naszego budynku, Cranston Scott; poczekał, aż przyjedzie moja rodzina, dał mi numer swojej karty kredytowej, żebym mogła zatelefonować do swoich dzieci i sióstr. Zadzwoiłam również do poprzedniej żony Richa, która знаła numery telefonów jego dzieci i brata, Gila. Gdy czekałam w pokoiku przed izbą przyjęć, dziesiątki pracowników szpitala wchodziły i wychodziły drzwiami, za którymi znajdował się mój mąż. Później dowiedziałam się, iż w raporcie policyjnym z wypadku zanotowano, że Rich jest „martwy lub bliski śmierci”.

Przychodzi Harry. Podnosi na mnie wzrok, a ja schylam się, żeby pogłaskać go po głowie, po uszach. Jak przypuszczam, zwierzak chce się upewnić, czy nadal tu jestem, albo chce upewnić mnie o swojej obecności. Był przybłądą; wzięliśmy go od naszego przyjaciela, który rok wcześniej znalazł go - wygłodniałego i przerażonego - w swoim ogrodzie. Rich nie chciał mieć psa. Ilekroć udało mi się zaciągnąć męża do sklepu zoologicznego, żeby obejrzał kolejnego szczeniaka, którego wypatrzyłam, spoglądał na zwierzę i mówił mniej więcej tak: „Hmm, ale czy on nie ma czegoś drapieżnego w oczach?”. Gdy zaprezentowałam mu Harry'ego, powiedział: „Hmm, bardzo miły piesek”. Pięć miesięcy później Harry zerwał się ze smyczy i Rich wybiegł na Riverside Drive, żeby go ratować. Nie patrzę na Harry'ego z wyrzutem i nie myślę: Trzeba było go nie zabierać. Nie winię za ten wypadek ani siebie, ani psa, choć pewnie winiłabym, gdyby obrażenia odniosło dziecko. Byliśmy dorośli, wiedliśmy swoje życie i doszło do tragedii. Nie widzę nic paradoksalnego w tym, że przyczyną wypadku, któremu uległ Rich, jest stworzenie podnoszące mnie

na duchu. W całej sprawie nie ma ironii losu, nie ma niczyjej winy, nie ma miejsca na ocenę z perspektywy czasu. Byłby to unik, no i przejaw słabości. Trzeba stawić czoło niezbitym faktom. Znosimy tę sytuację razem - mój mąż i ja; zostaliśmy rzućeni na ten obcy teren, gdzie pogoda nie taka i zasady też nie takie. Wszystkie moje myśli i działania są teraz ważne jak nigdy dotąd.

Mam wrażenie, że po drodze pozbywam się różnorakiego bagażu, rzeczy zbędnych, zbyt ciężkich. Dawne lęki się ulatniają, klaustrofobia, która przez lata mnie paraliżowała, minęła. Niegdyś szłam po schodach na czternaste piętro do naszego mieszkania, ponieważ bałam się jechać sama windą. A jeśli stanie? A jeśli nie będę mogła się wydostać? Aż pewnego niedzielnego poranka weszłam do szpitala, Rich leżał na siódmym piętrze, winda była pusta. To, co latami budziło we mnie przerażenie, teraz wydało się śmiesznie proste. Nie mam na to czasu, pomyślałam i natychmiast weszłam do środka. Gdy zamknęły się drzwi, powtarzałam w duchu: No dalej! Spróbuj! Co jeszcze możesz mi zrobić?

Mój mąż doznał pourazowego uszkodzenia mózgu, a konkretnie płatów czołowych; część mózgu wklinowała się do zatok, ściągając przy tym tętnice. Opona twarda, która osłania mózg, została przerwana w jednym, a może w kilku miejscach. Jest złamana podstawa czaszki. Istnieje poważne niebezpieczeństwo zapalenia opon mózgowych. Lekarze muszą usunąć martwą tkankę mózgową, zszyć oponę twardą, obniżyć ciśnienie spowodowane nagromadzeniem się płynu, wykonać plastykę kości czaszki. Taka operacja jest długotrwała i niesie ryzyko infekcji. Miała być przeprowadzona trzy tygodnie temu, lecz na trzy dni przed terminem Rich dostał gorączki i trzeba było poczekać.

Rano nic mu nie dolegało, był w dobrym nastroju, ale po południu zauważyłam, że ma ciepłą skórę i zachowuje się jak nie on w żadnej ze swoich postaci. Mówił niskim, chrapliwym głosem niczym Jimmy Cagney i nurzał się w odmętach, z których nie mogłam go wydobyć. Wiedziałam, że jednym z pierwszych objawów zapalenia opon mózgowych jest zmiana osobowości; zdjął mnie strach. Lekarze natychmiast podali mu środki, które stosuje się przy zapaleniu opon mózgowych; żółte płyny o złowieszczych wyglądzie zaczęły skapywać z woreczków do żyły w jego rękę. Punkcja lędźwiowa nie wykazała infekcji, ale i tak odłożono operację do czasu, gdy spadnie gorączka.

Jest czerwiec, dni są ciepłe, Harry linieje. Gdy go czeszę, stoi nieruchomo. Nocą śpi w moim łóżku. Szyję owiewa mi jego ciepły oddech, na policzku czuję dotyk ucha, które przywodzi na myśl „aksamitny liść nenufaru”, jak mawiał Rich. Nie kładę się po jego stronie łóżka, strona Richa należy do niego, jego piżama, równo złożona, wciąż znajduje się pod poduszką. Z początku, kiedy na oparciu krzesła zobaczyłam spodnie i górę jego piżamy, rozplakałam się. Ogarnia mnie smutek na myśl o przeszłości, o naszych porankach przy kawie i z gazetą w rękę. Wziąwszy prysznic, Rich pojawiał się w kuchni, niosąc łazienkowy kosz na śmieci i obwieszczając nadejście „nagiego śmieciarza”. Tęsknię za swoim mężem. Tęsknię za komfortem psychicznym, jaki dawało mi życie z człowiekiem, którego kocham i któremu bezgranicznie ufam. Gdy w maju odbywał się mój wieczór autorski, wśród przybyłych brakowało mi jego rozpromienionej twarzy. Żałowałam, że nie widzę, jaki jest ze mnie dumny, jak w pierwszym odruchu chce zaprosić wszystkich słuchaczy na kolację. Idąc naszą ulicą, pragnęłam, by znajdował się u

mego boku. To, co należy do przeszłości, zostaje wchłonięte przez teraźniejszość z jej niezwykłymi wydarzeniami. Najczęściej jest jednak tak, że sięganie pamięcią wstecz sprawia mi zbyt wiele bólu.

Wczoraj wieczorem zadzwonił mój syn.

- Niepokoisz się o wynik operacji? - zapytał.

- Raczej nie - odparłam.

Słyszałam, jak jeden z lekarzy powiedział, że to rutynowa operacja, bułka z masłem. Natomiast boję się pomyśleć, jak będzie wyglądał Rich, gdy go przywiozą na salę pooperacyjną. To brzmi bezsensownie, ale ciągle pamiętam okaleczoną nie do poznania twarz tuż po wypadku, krew zbierającą się w kącikach zapuchniętych oczu. Podczas tych pierwszych dni przychodziliśmy do szpitala na zmianę z jego córką Sally; każda siedziała po dwanaście godzin przy łóżku, słuchając pikania monitorów na OIOM - ie. Bałyśmy się go zostawić. Było w tym coś z wysiadywania jajka - ogrzewałyśmy go swoją obecnością - chciałyśmy, żeby zobaczył znajomą osobę, gdy się obudzi. „¿*Qué pasa?*”, tak brzmiały jego pierwsze słowa, gdy lekarze wyjęli mu rurkę intubacyjną. Przyłożyłam ucho do jego ust. „¿*Qué pasa?*”. I to mówi człowiek, który nie zaliczył hiszpańskiego. Jaki zabawny cud.

Siedzę na ławce; za mną trzy psy przekopują się na drugą stronę kuli ziemskiej. Przed chwilą obok mnie usiadła dziwaczna pani z plastrem na nosie, w białych rękawiczkach, która często stoi przy bramie i zamęcza psy oraz ich właścicieli opowieściami o tym, że śledzą ją agenci FBI. Ta pani ma whippetta. Mówi mi, że whippetów używano do łapania szczurów w kopalniach. „W Walii, a może w Szkocji czy Irlandii”, dodaje. Było tam tak ciasno, że nie mogły przetrącać szczurom karków, więc ukręcały im

łby. „Interesujące”, wtrącam powściągliwie. Nasza rozmowa snuje się jak pies, który szuka dobrego miejsca, by zlec. Jakoś tak się dzieje, że zaczynamy wspominać stare audycje radiowe. Clyde'a Beatty, seriale telewizyjne *Sky King* i *Sergeant Preston of the Yukon*. Kobieta pyta, czy pamiętam tę propozycję kupna nieruchomości. Kręcę przecząco głową. „Oferowano sześć centymetrów kwadratowych ziemi na Alasce”, wyjaśnia. Do końca dnia nie przestaję myśleć o tym, że można posiadać sześć centymetrów kwadratowych alaskiej głuszy. We wszystkim doszukuję się sensu.

Przez pierwsze tygodnie po wypadku Rich mówił zagadkami. Można było odnieść wrażenie, że jest podłączony do jakichś ogromnych zasobów mądrości, dostępnych jedynie tym ludziom - bez względu na ich osobowości, dziwactwa, historie życia, przyzwyczajenia - u których nastąpiły zmiany w mózgach.

- Tylko pomyśleć, że człowiek, który biegłby dalej i dłużej, być może znalazłby odpowiedź - powiedział któregoś wieczora, bredząc i przytomniejąc na przemian.

- I co by poznał? - spytałam zaciekawiona.

- Czar odległości - odparł. Co za oniryczne wyrażenie.

W zeszłym tygodniu, gdy usiłowałam zrozumieć ten świat, ale nie mogłam znaleźć słów, by to wyrazić, przyszła z wizytą moja najmłodsza córka Catherine.

- Poznajesz mnie? - zagadnęła.

Spojrzałam na nią bacznie i zapytałam:

- Jesz polne myszy?

Uważałyśmy, że to dziwne pytanie, aż w końcu uprzytomniłam

sobie, że pierwsze trzy litery jej imienia składają się na słowo „cat”*. W tej ulotnej chwili zobaczyłam, jak poturbowany umysł próbuje złożyć się w całość i uruchomić synapsy. „Koza ma w pysku mnóstwo kamyków”, rzekł pewnego dnia Rich; nie zastanawiam się nad tym - niech pozostanie tajemnicą. W ciągu dnia, gdy nie możemy komunikować się za pomocą słów, kładę się przy nim na łóżku i trzymamy się za ręce. Terapia drzemką. Ta pozycja ciała jest znajoma, przyjmujemy ją bez słowa, bez zastanowienia.

Przyjaciele pytają mnie, jak sobie radzę, jak to robię. Przynoszą mi jedzenie i kwiaty, przysyłają listy, zostawiają wiadomości. Modlą się. Kocham tych ludzi, kocham swoją rodzinę. Niby co robię? - zadaję sobie pytanie. Tak potoczyło się życie nas obojga. Przed miesiącem sądziłabym, że taka egzystencja jest nie do zniesienia. Niekiedy wydaje mi się, że ratuję tonącego i mam tylko tyle czasu, by jeden raz wynurzyć się dla nabrania powietrza, a potem muszę znowu zanurkować. Jest w tym coś euforycznego, jakiś haj tylko po części wywołany wyczerpaniem, i niemal z przerażeniem stwierdzam, że tętni we mnie życie. Nie ma to jak katastrofa, by poczuć świeżość chwili. Paradoksalnie, czuję, że w ostatnich kilku latach moje życie stawało się rozlazłe, przypominało rozciągniętą gumkę od majtek, dni plątały mi się wokół kostek. Teraz energicznie wykonuję nawet najprostsze czynności - kupuję papierowe ręczniki, proszek do prania czy karmę dla psów, dbam o dom pod nieobecność Richa. Pewnego ranka kupiłam sobie naszyjnik ze szkiełek wypolerowanych przez morze i traktuję go jako talizman. Kupowanie rzeczy jest patrzeniem w przyszłość. Jak mówi moja córka Jennifer, w robieniu zakupów wyraża się nadzieja.

W dniu wyznaczonym na operację, o szóstej trzydzieści rano, jestem na miejscu razem z Sally, żeby odprowadzić męża na salę operacyjną. Idziemy przy noszach na kółkach i staramy się uspokoić Richa, który jest tak zdezorientowany i poruszony, że anestezjolog wstrzykuje mu midazolam. „My też możemy prosić?”, pyta Sally. Gdy Rich zostaje zabrany na salę operacyjną, udajemy się na śniadanie do szpitalnej stołówki. Sally bierze dwa gotowane jajka, zupę mleczną z płatkami zbożowymi, hache wołowe i kawę; jest pielęgniarką i wie, co robi - przed nami długi dzień. Ja jem banana. Poczekalnia jest duża, z wysokim sufitem. Przez wąskie okno widzę Piątą Aleję z zielonym Central Parkiem w tle i malutkie sylwetki kolorowo ubranych dzieciaków idących z nianiami na piknik. Dzień jest chłodny i bezchmurny. Siadamy z Sally w fotelach, przygotowane na długie oczekiwanie, gdyż - jak nam powiedziano - operacja będzie trwała cały dzień. Nie martwię się o Richa, myślę o swoim chorym psie; przestał jeść, miał gorące uszy i krwawy stolec. Moja siostra Judy zgodziła się zawieźć go do weterynarza. Nagle wpadam w panikę i wydzwaniam do niej co piętnaście minut. Jej syn informuje mnie cierpliwie, że mama jeszcze nie wróciła od lekarza. Nie mogę trzeźwo myśleć - co bym zrobiła bez Harry'ego? Zdesperowana dzwonię w końcu bezpośrednio do gabinetu. Okazuje się, że Harry ma zapalenie okrężnicy i trzeba tylko dawać mu dużo ryżu oraz przez pięć dni lekarstwo. Odczuwam bezmierną ulgę i nie mogę pojąć, dlaczego byłam taka zaniepokojona; po chwili dociera do mnie, że ja dodaję otuchy Richowi, a Harry dodaje otuchy mnie.

O szóstej dowiadujemy się, że operacja przebiegła pomyślnie. Idziemy zobaczyć Richa, który leży w sali pooperacyjnej na górze. Śpi,

głowa w bandażach, pod nimi szwy od ucha do ucha. Lekarze wykonali to, co zamierzali. Ponieważ cała kość czołowa była strzaskana (popękana jak skorupka jajka, tak nam powiedziano), zrobili mu nowe czoło z tytanu. Odbudowali podstawę czaszki, usunęli obumarłą tkankę i nagromadzony w mózgu płyn. Prawego płatu czołowego nie ma, lewy jest stłuczony. Lekarze mówią, że osobowość Richa już nie będzie taka sama, czas pokaże charakter zmian. Nigdy nie przyswoiłam sobie tych informacji. Zmiany? Tylko oddajcie mi go, a wszystko będzie dobrze. Zaczynamy obdzwaniać naszych przyjaciół i krewnych.

W ciągu kilku dni po operacji okazuje się jednak, że Rich wchodzi w okres, zwany eufemistycznie „niewłaściwym zachowaniem” i będący etapem procesu dochodzenia do zdrowia, kiedy pojawiają się napady złości i irracjonalne reakcje. Jest wzburzony i zdezorientowany. Mówi nie o powrocie do domu, tylko „byłoby się stąd wydostać”, nieważne dokąd. Jego zdaniem nieustannie sprawiam mu zawód, bo nie chcę go ratować. Dawniej sądził, że może na mnie polegać, że się kochamy, teraz widzi, że nasza miłość wygasła. Szorstkim ruchem odpycha mnie, gdy zamierzam wziąć go za rękę. Jestem urażona - nic na to nie poradzę, choć próbuję przemówić sobie do rozsądku. Gdy siedzę przy nim godzinami i widzę jego zagniewaną twarz, przypominają mi się opowieści o ludziach, którzy na skutek pourazowego uszkodzenia mózgu stali się zupełnie inni. Ogromnie się boję, że doprowadzi mnie to do zguby. Nie takiego mężczyznę poślubiłam. To nie jest jego wina ani jego wybór, ale też nie mój.

Pewnego dnia patrzę przez szpitalne okno wysoko nad Central Parkiem i mam wrażenie, że między pokojem Richa a naszym

mieszkaniami jest rozpięta lina, ja zaś nie robię nic innego, tylko chodzę po niej tam i z powrotem nad rozciągającym się w dole miastem. Niemal widzę, jak lina buja się niczym druty wysokiego napięcia ponad drzewami. I wtedy uprzytamniam sobie, że muszę dbać o siebie, nawet jeśli wychodząc od niego, wzbudzam w nim gniew albo - co gorsza - smutek. Muszę spać i jeść. Muszę robić rzeczy, które nie wymagają myślenia, chodzić do kina, leniuchować popołudniami. Uświadamiam sobie coś jeszcze, coś bardziej zaskakującego: nie sprawię, że wszystko będzie dobrze. To on doznał obrażeń, nie ja. Nie potrafię go wyleczyć, nie potrafię odkręcić tego, co się stało.

Rich nadal nie przyjmuje pokarmów i lekarstw, bo wszystko jest zatrute. „Dlaczego pleciesz bzdury?”, pyta rozzłoszczony, gdy mówię coś pokrzepiającego o zawartości potasu w bananach. Takie uwagi są przykre, tym bardziej że słysząc własne słowa, sama uważam, że zachowuję się jak wieczna optymistka. Kiedy przemierzamy szpitalny korytarz, na tomografię, Rich powiada: „Gdy człowiek idzie długim, zupełnie pustym korytarzem, zawsze wie, że wpadnie w tarapaty”. Po badaniu mówi do mnie: „Miałem wrażenie, jakby odbywała się pospolita egzekucja”. Kiedy traci na wadze niemal czternaście kilogramów, lekarze wprowadzają mu sondę do żołądka. Podobną do małego ogona rurką, która skręcona wychodzi spod pościeli i łączy się z kroplówką, podają mu pokarm i lekarstwa. Być może kształt rurki utwierdza go w przekonaniu, że w jego łóżku rzeczywiście jest małpa.

- Tu nie ma żadnej małpy - zapewniam go.

- Nie bądź taka pewna - odpowiada, zerkając pod prześcieradło.

Jak oddzielam dawnego Richa od tego dzisiejszego? Co tłumaczę

sobie obrażeniami, których doznał? Na co się godzę i na jakiej podstawie? Pielęgniarki mówią mi, że ten stan minie, ale to mnie nie pociesza. Tęsknię za swoim dawnym mężem. Tęsknię za dawną sobą. Gdy natrafiam na jakąś rzecz sprzed wypadku, na przykład zdjęcie Richa, który ma na twarzy ten swój wspaniały uśmiech, odczuwam dotkliwą stratę. Co się stało? Gdzie się podział mój mąż? Podczas sprzątanía szafy znajduję mały przenośny wentylator - prezent od Richa, przydatny w podróży, bo nie mogę zasnąć, nie słysząc białego szumu - i zbiera mi się na płacz.

„Nie wiem, kim jestem”, powtarza na okrągło Rich. „Mam mętlik w głowie. Nie jestem sobą”. Wczoraj powiedział do mnie: „Przypuśćmy, że idziesz z przyjacielem ulicą. Oglądasz witryny sklepów. Ale tuż za tobą znajduje się mężczyzna z wielkim walcem pełnym białej farby i zamalowuje wszystkie miejsca, w których byłaś, wszystkie wymazuje. Także twojego przyjaciela. Nawet nie pamiętasz jego imienia”. Dreszcz przechodzi mi po plecach, gdy to sobie wyobrażam, ale Rich mówi o tym, nie posiadając się z radości. Zdarza się, że żyje tu i teraz; bywa też, że w jego zmaconym umyśle się kotłuje. Kiedy jest wzburzony, moje odwiedziny są krótkie. Gdybym została dłużej, ani on, ani ja nie mielibyśmy z tego pożytku. Co mogę zrobić w takie złe dni? Częstka mnie nadal zachowuje wspomnienie, jaką byliśmy parą. Co mogę zrobić, czując gniew? Czy mam prawo się złościć? Mój mąż miał wypadek. Jego organizm w pewnej mierze nie funkcjonuje. Zazwyczaj nawet nie czuję gniewu, ale wiem, że we mnie siedzi, i uświadamiam to sobie, gdy robię coś autodestrukcyjnego, na przykład nie jem dzień czy dwa, piję za dużo kawy, pograżam się w samotności, tracę siły ze zmęczenia.

„Dobre rzeczy zwykle dzieją się powoli”, powiedział lekarz na OIOM - ie kilka miesięcy temu. „A złe rzeczy dzieją się szybko”. Te pocieszające słowa do dziś podnoszą mnie na duchu. Powrót do zdrowia jest długim, powolnym procesem. Oboje mamy lepsze i gorsze dni. Staram się zachowywać równowagę, lecz mimo to w gorsze dni ogarnia mnie przygnębienie, w lepsze ożywia mnie nadzieja. Najtrudniejsza w tym wszystkim jest niepewność. Nie ma żadnych prognoz, nikt nie potrafi mi powiedzieć, jak bardzo poprawi się stan zdrowia męża i ile czasu to zajmie. W przeddzień moich urodzin Rich wyobrażał sobie, że pojechalibyśmy razem na Coney Island i że kupił mi naszyjnik z muszelek. Prezent, który dostałam, był równie rzeczywisty dla mnie, jak i dla niego. Rich trzymał mnie za rękę. To się działo wczoraj, mieliśmy dobry dzień, choć smutny. Zmienia się pora roku, chodzę z Harrym do parku i patrzę, jak żółkną i opadają liście, nad głową i pod stopami jest tak cudnie. Pojawiło się coś więcej, coś, czego nie znam, coś, co usiłuję wyczuć, coś tak subtelnego jak zmiana wilgotności lub temperatury, a może natężenia światła, gdy lato przechodzi w jesień, najpiękniejszą porę roku, która niesie w sobie piękno zanikania i obietnicę nadejścia czegoś jeszcze.

DOM

Wybieram się do Pago Pago, ale po drodze zatrzymuję się najpierw w restauracji Rosita's; zamawiam ryż z fasolą, jajko sadzone i kawę z mlekiem. Robią tu dobre grzanki, więc proszę również o kilka grzanek. W sali rozchodzi się zapach liści laurowych i kawy; dyplomanci, młode małżeństwa i taksówkarze obsiedli niczym niewyróżniające się stoliki; słysząc mieszankę hiszpańskiego i angielskiego. Uspokaja mnie atmosfera tego miejsca, jednego z kilku, które uważam za swój drugi dom. Wybieram się do Pago Pago, gdzie mój mąż, z którym przeżyłam trzynaście lat, obudził się tego niedzielnego poranka, gotów uczestniczyć w polowaniu na goryle. Jest zaniepokojony, gdy zapowiadam, że złożę mu wizytę. Twierdzi, że podróż jest długa i niebezpieczna. „Będą ci potrzebne amulety”, mówi stanowczo. „Musisz porozmawiać z szamanami”. Spokojnie informuję go, że będę na miejscu za dwie godziny. „Jak mnie odnajdziesz?”, pyta. „Przyjadę pociągiem”, odpowiadam. Mojego męża nie ma już prawie rok.

Jadąc pociągiem do Manhasset, zawsze mijam Flushing, gdzie dorastał mój tato. Pamiętam szalowany dom, krzaki hortensji. Pamiętam gabinet jego ojca, na lewo od wejścia, długą leżankę pokrytą skórą, oszklone gabloty z narzędziami lekarskimi. Pamiętam tajemnicze wnętrze, pokój na prawo, spłowiałą wykładzinę dywanową w kwiatowy wzór, dywan, który od czasu do czasu pojawia się w moich niedokończonych opowiadaniach. Pamiętam żelazne wanny na nóżkach w kształcie lwich łap, kominek gazowy, kuchnię z (chyba) kremowo - zieloną emaliowaną kuchenką, na której babcia przyrządzała trzy rodzaje mięs na Święto Dziękczynienia. Codziennie dawała mojemu dziadkowi kieliszek sherry,

do której wbijała jajko, a my, dzieci, obserwowaliśmy ten rytuał, zafascynowani. W ogródku za domem rósł dąb, zasadzony w dniu narodzin mojego taty, i dalej, za betonowym murem, biegly tory kolejowe przez Long Island. Wiem, że ten dom zniknął przed laty, chcę jednak znaleźć resztki muru, skąd - jak pamiętam - patrzyliśmy na drugą stronę i w dół nie tak znowu stromego i długiego nasypu, obserwując przejeżdżające pociągi. Wyglądam przez okno, ilekroć przejeżdżam przez Flushing. Wiem, że dawno nie ma już grzejników, w które babcia stukała co rano, żeby obudzić piątkę swoich dzieci. Dawno nie ma już zapachu podsmażanego bekonu. Dawno nie ma już rodziny, która rozproszyła się po świecie. Mimo to pamiętam zapach kominka gazowego, schody prowadzące na pierwsze i drugie piętro. I wyłożone płytami trotuary, po których jeździliśmy na wrotkach, okrążając raz po raz cały kwartał. „Flushing, ulica Główna!”, woła zawsze konduktor, ale to miejsce nie wygląda tak, jak zachowało się w mojej pamięci. Niekiedy wyobrażam sobie, że obok mnie siedzi mój tato. Nie odzywa się - co tu mówić? Ale przez pewien czas jego obecność dodaje mi otuchy.

Gdy pojawiaam się w szpitalu, Rich czeka na lunch. Pago Pago wyleciało mu z głowy. Jest szczęśliwy, że mnie widzi, i ma ochotę na grzankę. Staje przed dużymi, metalowymi tacami, na których zazwyczaj znajdują się dania, i trzyma nad nimi wyciągnięte ręce, żeby sprawdzić, czy są podgrzewane. Zagląda pod ladę, dotyka tego i owego, po czym znowu trzyma ręce nad tacami. „Stąd to się bierze”, oznajmia. Pokazuje mu toster, ale Rich dalej mówi swoje: „Będzie za chwilę. Stąd to się bierze”. Wkrótce personel przywozi lunch i Rich siada przy stole we wspólnej jadalni. Oboje jemy kanapki z kurczakiem. Rich ma apetyt, zjada

dwie kanapki, całą sałatkę ziemniaczaną, siedem czy osiem krakersów z razowej mąki pszennej. Ma białą brodę, często pochyla głowę. Choć nie wygląda tak jak dawniej, coraz bardziej przyzwyczajam się do człowieka, jakim się stał. Widzę, że jest zmęczony, więc idziemy zdrzemnąć się razem w jego pokoju. „Wąskie łóżko, jeszcze węższe po lunchu”, powiada, gdy kładziemy się obok siebie. Po półgodzinie wstaje; słyszę, że wielokrotnie otwiera i zamyka szuflady niewielkiej komody. „Szukam dla ciebie koca”, wyjaśnia.

Tego wieczora moim drugim domem staje się inna restauracja w okolicy, gdzie mieszkam, znajoma jak tutejsze trawniki, z małutkimi świeczkami na każdym stoliku, z licznymi gośćmi, którzy pochyleni ku sobie, gadają jak najęci. Lubię ten klimat. Siedzę sama przy oknie. Znam każdy centymetr trotuaru i wszystkie sklepy stąd, przy Sto Dwunastej Ulicy, do H&H Bagels na rogu Osiemdziesiątej Pierwszej i Broadwayu - chcę, żeby tu rozrzucono moje prochy, gdy przyjdzie co do czego. Po drugiej stronie ulicy widzę błękitno - fioletowy neon Deluxe Diner i żółte lampy Pertutti's, gdzie jadaliliśmy z mężem kilka razy w tygodniu. Na rogu mieści się restauracja Tom's, serwuje kiepskie jedzenie, ale zyskała rozgłos dzięki serialowi telewizyjnemu *Kroniki Seinfelda*. Idzie wiosna. Zamawiam kolejnego manhattana, choć znalazłam się już tam, dokąd zmierzałam, w tym nakrapianym miejscu, z którego przechodzi się w stan upojenia. Po powrocie do domu spojrzę na wypełnione książkami regały, które kupiliśmy z mężem trzynaście lat temu, i przypomni mi się, z jaką lubością likwidował półki zrobione własnoręcznie przez mojego dawnego amanta (sto gwoździ na metrze drewna). Pomalował łazienkę na jasnoróżowy kolor i wyrugował wariacki, metaliczny błękit, jakim ktoś

pokrył ściany przed laty. Odciskał swoje piętno, wymazując ślady innych okresów w moim życiu, zewnętrzne i widoczne oznaki, które nie dawały mu spokoju i raziły jego zmysł estetyczny. Z ulgą i zadowoleniem patrzył, jak wyrzucam głębokie fotele wyściełane pluszem, jeden w kolorze fioletowym, drugi w intensywnym odcieniu błękitu królewskiego. Miały pozrywane sprężyny i łysiejące podłokietniki, ale przywodziły mi na myśl foyer starych kin o takich nazwach jak Bijou czy Roxy. Razem kupiliśmy kanapę u Altmana; stonowanym ciemnozielonym materiałem obiliśmy dwa krzesła, które przywiózł Rich. Szacowność. Na ścianach powiesiliśmy należące do męża ryciny z wizerunkami ptaków oraz - za moją namową - jego trofea w biegach. Gdy co jakiś czas przeglądałam szafy i hurtem wyrzucałam różne rzeczy, Rich żartował, że jeśli nie będzie uważał, też znajdzie się na śmietniku. Początkowo bawiło mnie to, później byłam oburzona. Za kogo on mnie ma? Przecież jest moim mężem. Towarzyszem na całe życie. „Nie wyrzucam ludzi na śmietnik”, oświadczyłam obrażonym tonem.

Zbliża się dziesiąta, popijam drugi manhattan. Rich zupełnie zapomniał, że byłam dziś u niego. Wydaje mu się, że nie zdążyliśmy na pociąg do Providence, i to go martwi. Takie życie jest niewątpliwie piekłem ponad moje wyobrażenie. Co najwyżej znajduję trywialną analogię do tego, co przeżywałam, zgubiwszy torebkę na lotnisku w Minneapolis. Gdy minął pierwszy szok i wybrnęłam z natychmiastowych kłopotów spowodowanych brakiem biletów lotniczych, dowodu tożsamości i pieniędzy, stwierdziłam, że najbardziej mi doskwiera nie utrata kart kredytowych czy prawa jazdy, nie telefonu komórkowego czy gotówki, nawet nie pomadki do ust. Najdotkliwiej odczułam nieobecność

mojego kumpla na ramieniu, brak poczucia pewności, które daje grzebanie w masie rzeczy, zaciskanie palców na pęku kluczy, wymacywanie papierowej chusteczki, starego pudełka z jednym pogiętym papierosem, reliktyw przeszłości, będących dowodem, że przeżyłam kawałek życia. Oto odcinek biletu, oto kwitek od ramiarza, oto książeczka czekowa z wydartymi czekami i notatką na odwrocie, którą zrobiłam sobie ku pamięci, oto nowa książeczka z czekami. Bez torby czułam się niekomfortowo, nieswojo, jakby zniknęła jakaś część mnie. Właśnie to utracił mój mąż. Nie pamięta, co jadł na śniadanie, że po nocy nastaje dzień, jak pobrzękują monety w kieszeni. Nie ma pamięci krótkotrwałej. Musi ją sobie wymyślać.

Dwadzieścia lat temu zapytałam swojego przyjaciela, czy trawi go jakaś wieczna tęsknota (tak jak mnie nęka i domaga się nazwania).

- Oczywiście - odparł.

Jedliśmy lunch, siedząc nad stawem przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i obserwując kaczki. Świeciło słońce, trawa była gęsta, zielona, kaczki krążyły po nie tak znowu niebieskim stawie. Trwałam w zawieszeniu między jednym życiem zakończonym a drugim nierozpoczętym.

- Za czym tęsknimy? - spytałam. - Co to takiego?

- Nie ma tego czegoś - rzekł po dłuższym zastanowieniu. - Jest tylko tęsknota za tym.

Ta odpowiedź trafiła mi do przekonania. Teraz, gdy minęło wiele lat i nabrałam mądrości, wiem, za czym była ta tęsknota: za miejscem, gdzie czujemy się u siebie.

W sierpniu, po trzech miesiącach spędzonych w dwóch szpitalach,

Rich wrócił do domu. Wyglądało na to, że jest znowu sobą, że po urazie mózgu zdarzył się cud. Pamiętam, jak zastanawiałam się, o co w tym wszystkim chodzi, skoro po takiej tragedii nic się nie zmieniło. Oboje przeżyliśmy piekło, ja się zmieniłam, dowiedziałam się więcej o sobie, o przyjaźni, o największych potrzebach człowieka, nauczyłam się przyjmować gesty otuchy. I oto patrzę na swego męża, który wygląda tak, jakby nic się nie stało dwudziestego czwartego kwietnia, za piętnaście dziesiąta wieczorem. Jakby wcale nie wpadł pod samochód. Jakby był takim samym człowiekiem. Doznałam poniekąd rozczarowania, że wszystko wygląda tak samo jak przed wypadkiem. Co ja teraz zrobię z tą całą nowo nabytą wiedzą? Jak podzielę się nią z mężem? Rozmawiałam o tym z moją mentorką, wspaniałą kobietą, której mąż doznał pourazowego uszkodzenia mózgu przed siedmioma laty. Wysłuchawszy mnie, powiedziała: „Zachowaj te dni w pamięci”. O nie, pomyślałam, wszystko będzie dobrze. Przecież ona nie wie, co nas czeka. Wrócimy do naszego dawnego życia, jakby nic się nie wydarzyło dwudziestego czwartego kwietnia.

Przez pierwszych dziesięć dni zdawało się, że wszystko jest w porządku. Rich chodził po kuchni, otwierał szafki, dotykał stołu, blatów. „Zapoznawał się”, jak mówił. Jednak potem, z wolna, zaczął się rozlatywać. „Dlaczego zmieniłaś mieszkanie?”, pytał. „Wcale nie zmieniłam mieszkania. Tu jest nasz dom”, tłumaczyłam. A on nie mógł się nadziwić, jak tego dokonałam - nowe mieszkanie urządziłam tak samo jak stare. Może już nie był sobą, ale uważał, że właśnie mieszkanie się zmieniło. Bo ja wiem? Mijały dni, a on złościł się coraz bardziej. Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego chcę go oszukać? Dlaczego kłamię? Jego

„prawdziwy” dom jest piętro wyżej, piętro niżej, wszędzie, tylko nie tu. Aż pewnego ranka obudził się z przeświadczeniem, że o jedenastej musi się stawić na gestapo. Był wystraszony i zrezygnowany. „Nie ma żadnego gestapo”, powtarzałam na okrągło, trzymając go w objęciach. „Jesteśmy bezpieczni. Miałeś zły sen”. On był jednak pewny, że jest inaczej.

Urojenia występowały coraz częściej. Obcy ludzie kręcili się nocą po jego pokoju. Biegały jakieś zwierzęta. Ponieważ jego mocz był skażony, wysłał próbkę do Atlanty; gdzie jest numer telefonu NIH - u*? Trzeba natychmiast tam zadzwonić. Rychło moje pojęcie normalności zaczęło się rozmywać. Ziemia usuwała się Richowi spod nóg, a ja starałam się dopasować krok do jego kroków. W domu zapanował chaos i strach. Na nic się nie zdały wielokrotne telefony do lekarza - Rich coraz bardziej popadał w paranoję, która ostatecznie przekształciła się w pełnoobjawową psychozę. Którejś nocy wyszedł z mieszkania o piątej rano, boso, w samej bieliźnie.

- Nawet nie próbuj mnie zatrzymać! - krzyknął. - Wracam do domu.

Pielęgniarka zatrudniona na noc wzięła mnie na stronę i powiedziała:

- Pani Rogin, w tym domu obłąkani rządzą zdrowymi na umyśle.

Dotychczas dawałam się nieść prądowi. W końcu znalazłyśmy lekarza i szpital, który zgodził się przyjąć Richa podczas ostrego dyżuru, ale on, choć był przerażony, zdezorientowany i wściekły, nie chciał pojechać. Pewnego okropnego poranka, w środę, znowu uparł się, że wraca do domu. Przysunęłam mu wózek inwalidzki.

- Siadaj, Rich - powiedziałam, czując do siebie odrazę. - Zawiozę cię do domu.

Ten manhattan jest duży, ale to już trzeci, a ja na tyle sobie pozwalam. Wypijam trzy drinki i w ten sposób powstrzymuję się od czwartego. Do dnia, gdy Rich miał wypadek, nie tknęłam alkoholu przez dwadzieścia lat. W zeszłym roku znowu zaczęłam pić i palić. Popijam drinka, zapalam papierosa. Stare, wypróbowane sposoby radzenia sobie ze stresem, element mojego trybu życia - nienajlepszy - przez czterdzieści lat. Gdy spróbowałam pierwszego manhattana, miał swojski smak. Dziś wieczorem powiedziałam Richowi, że go kocham. Odrzekł: „To jest warte dwadzieścia kapeluszy i wszystkie autografy na tym świecie”. Pociągam łyk drinka. Nie wiem, czy mąż znajdzie się kiedyś w domu. Gdziekolwiek by to było.

Mój przyjaciel, ten, który był ze mną nad stawem z kaczkami, ma kamienny dom pośród zielonych wzgórz gdzieś w Massachusetts. Rzadko w nim bywa, mieszka w Nowym Jorku. Czasem nachodzi go myśl, że powinien sprzedać ten dom komuś, kto będzie mieszkał w nim na stałe, kochał tę posiadłość i o nią dbał. Ale - jak mówi - ilekroć tam przyjeżdża, przez pierwszych pięć minut wie, że właśnie to jest jego miejsce. Że tam czuje się u siebie. Potem nerwowość, jaką nosi w sobie, zagłusza owo uczucie. A jednak te pięć minut mniej więcej raz w miesiącu sprawia, że warto mieć ten dom.

Dopijam trzeciego drinka, płacę rachunek i wracam do domu, prosto, równym krokiem pokonując długi odcinek do następnej przecznicy. W mieszkaniu czuć mojego męża i jego nieobecność. Tego wieczora, pod wpływem smutku, złości i trzech drinków, wysuwam trzymetrowy stół z gabinetu - żeby go tam wstawić, trzeba było wezwać trzech mężczyzn. Ten stół służył mojemu tacie do pisania, jest bardzo stary, na koźłach,

waży chyba... Nie mam pojęcia, ile waży, wiem tylko tyle, że następnego ranka nie mogę go nawet unieść. Ale tego wieczora pcham go przez drzwi, korytarzem, pod regały z książkami, zajmuje mi to sześć minut od początku do końca. Tego wieczora muszę coś zmienić. Stawiam na stole miedziany kościółek, który dostałam od Richa podczas naszego trzeciego spotkania. Na wieży są malutkie dzwony. Pamiętam, że podziękowałam za prezent i pomyślałam sobie: Czy to swego rodzaju oświadczyzny? To rzeczywiście były oświadczyzny. Trzydzieści lat temu.

Ta noc jest ciężka. Tyle odłamków życia muszę wpasować w swoje pojmowanie przeszłości i przyszłości, lecz i tak mam szczęście - wiem, co się zmieniło i gdzie jestem. Rich stracił swój kompas, nie może trafić do domu. Dla niego najbardziej realne są szczątki jego pamięci. A przecież wszyscy szukamy swojego miejsca. Poza tym, czyż dom nie jest tym, co kłecimy naprędce z naszych zmieniających się „ja”? Może nie ma tego czegoś - jak powiedział mój przyjaciel - a jest tylko tęsknota.

POCIESZENIE

Co roku w październiku w katedrze pod wezwaniem świętego Jana obchodzi się dzień świętego Franciszka i odprawia ceremonię błogosławienia zwierząt. Tysiące ludzi przyprawia swoich ulubieńców, wielki kościół jest przepełniony. Spore zwierzęta przywiezione z farm - potulne krowy, konie i owce - z girlandami kwiatów na szyjach idą w procesji do ołtarza. Są tam węże, ogromne papugi, orły i jastrzębie. Pewnego razu przybył nawet słoń. Na parkingu przed kościołem znajduje się kilka minizoo, gdzie dzieci mają kontakt z oswojonymi zwierzętami; któregoś roku dużą popularność zdobył miot prosiaczków. Pawie, zamieszkujące teren przykościelny, pyszną się swoim wyglądem. W dwa tysiące pierwszym roku, gdy uczestniczyłam w tej uroczystości, oddaliśmy cześć dzielnym psom, które przeszukiwały płonące cmentarzysko po World Trade Center, oraz ich opiekunom. Wielu z nas nie mogło przestać płakać.

Dostrzegłam Rosie niemal z końca ulicy; siedziała pod stolikiem na parkingu, a wraz z nią jeszcze dwa psy do oddania. To naprawdę była miłość od pierwszego wejrzenia, choć zwierzę wyglądało na kłopotliwe - zalęknione i podenerwowane. Ta psina, krzyżówka jamnika z whippetem (niewyobrażalna kombinacja), była najpiękniejszym stworzeniem, jakie widziałam w życiu. Przypominała sarnę albo gazelę w miniaturze, spełnienie marzeń jamnika - tak powiedział ktoś, spoglądając na jej długie nogi. Czy ona jest nauczona czystości? Wysterylizowana? - zadałam kilka zbędnych pytań. Wiedziałam, że chcę mieć tego psa bez względu na wszystko. Przykucnęłam, pogłaskałam jedwabistą, brązową sierść i spojrzałam w niespokojne, brązowe oczy. Drżała na całym ciele. Od

dawna chodziło mi po głowie, żeby mieć drugiego psa - no i się pojawił.

Nie powiem, że mój beagle Harry skakał z radości na widok Rosie. Tak naprawdę powarkiwał. Przywykł do tego, że panuje nad połową kanapy, sadowiać się pośrodku, więc przybycie Rosie było co najmniej niemile widziane. Uradowana zauważyłam jednak, że trochę się ożywił. Od dawna prowadziliśmy z Harrym samotniczy tryb życia; oboje opuszczaliśmy dom niechętnie, tylko gdy to było konieczne. Po wypadku Harry w ogóle nie chciał wychodzić na dwór. Musiałam nieść roztrzęsionego psa do windy, potem na korytarzu, na ulicy, do parku Riverside, a gdy tam postawiłam go na ziemi, zaraz puszczał się pędem do domu. Idąc na uroczystość do katedry, wzięłam ze sobą jego zdjęcie, bo z pewnością nie chciałby znaleźć się tam osobiście.

Harry mieszkał z nami zaledwie pięć miesięcy, kiedy doszło do wypadku. Trafił do nas za pośrednictwem naszego przyjaciela, który znalazł go wygłodniałego w lesie. Pierwszego dnia przysporzył nam zmartwień: nic nie jadł, nie pił, wyprowadzany na spacer kulił się przy ziemi, podwijając ogon. Gdy podchodziliśmy do niego, wbijał się w róg kanapy. W końcu, zrozpaczeni, położyliśmy się do łóżka. Dziesięć minut później usłyszeliśmy stukot pazurków o gołą podłogę i oto Harry już był z nami w łóżku. A zatem wszystko miało ułożyć się dobrze. Ułożyło się lepiej niż dobrze.

„Jaki jest teraz twój stosunek do tego psa?“, zapytał mnie ktoś niedługo po naszej tragedii. „Kocham Harry'ego“, odparłam. Byłam zaskoczona tym dziwnym pytaniem. „Nie przebrnęłabym przez to, gdyby nie on“. Przez pierwsze tygodnie pobytu Richa w szpitalu często budziłam się w nocy i wyciągnawszy rękę, żeby dotknąć mego męża, stwierdzałam,

że ciepło, które czuję przy sobie, wydziela malutki Harry. I wtedy rozpacz łączyła się we mnie z wdzięcznością, wzbudzając doznanie, do którego zdołałam później przywyknąć.

Po kilku scysjach mających na celu ustalenie, kto posiada prawo własności terenu, Harry i Rosie prowadzili politykę odprężenia. Tylko raz doszło między nimi do prawdziwej bitwy - o lukrowanego pączka, którego bezmyślnie zostawiłam w ich zasięgu, a był to pączek wyprodukowany przez firmę Entenmann's, wart, by o niego zawalczyć. Kilka dni po przybyciu Rosie, Harry odzyskał równowagę wewnętrzną i zaczął zadziierać ogon. Teraz co rano wychodzę z psami, żeby się wybiegały. Wyprowadzając Rosie, mam wrażenie, jakby do końca smyczy był przyczepiony latawiec, natomiast Harry, który sunie statecznym krokiem, zdaje się niewielką, solidną kotwicą. W parku siadamy z Harrym na ławce i patrzymy, jak Rosie biega, podskakuje, sadzi susami, ściga się z każdym psem, który ruszy za nią w pogoń, i ustępuje jedynie dwóm: saluki o imieniu Sophie i chartowi afgańskiemu o imieniu Chelsea. Tylko one biegają szybciej niż Rosie, ale zazwyczaj są nazbyt dystyngowane, by w ogóle puścić się biegiem.

Rosie wydobyła nas z marazmu. Śpi z otwartymi oczami; gdy tylko westchnę, natychmiast nastawia uszy. Kiedy podnoszę wzrok znad książki albo zdejmuję okulary, już ma napiętą uwagę. Dowiedziałam się, że jej właściciel zginął pod gruzami World Trade Center, pies trafił do schroniska, przyprowadzony przez zapłakanego krewnego. Kimkolwiek był poprzedni pan Rosie, na pewno kochał ją równie mocno jak ja, nauczył ją różnych rzeczy - gdy każę jej usiąść, siada - mogłabym przysiąc, że jego duch krąży opodal. Chcę powiedzieć ludziom, którzy kochali tego

człowieka, że jego pies jest teraz członkiem rodziny i dobrze się czuje.

Odwiedzam męża raz w tygodniu. Obecnie przebywa w północnej części stanu, w domu opieki dla ludzi z pourazowym uszkodzeniem mózgu. Od wypadku minęły już ponad dwa lata, ale nadal nie mogę ogarnąć tego rozumem. Rich jest tam i zarazem go nie ma, jest i nie jest moim mężem. Jego myśli jakby się rwały i zderzały ze sobą, ja zaś staram się w ogóle nie myśleć. W dobre dni siedzimy na dworze. Nie rozmawiamy, po prostu siedzimy blisko siebie i trzymamy się za ręce. Czuję się tak, jakby wróciły dawne czasy, jakbyśmy znowu byli małżeństwem. Gdy wieczorem wracam do domu, witają mnie psy - Rosie skacze jak na sprężynie, Harry kręci się wokół nóg. Czasami siadam od razu na podłodze, zanim zdejmę płaszcz.

Kto by zajrzał do naszego mieszkania późnym rankiem, wczesnym popołudniem albo przed kolacją, pewnie zobaczyłby, że śpimy wszyscy razem. Oczywiście, najlepiej nadają się do tego dni deszczowe, ale także w słoneczne letnie dni kładę się z psami do łóżka. Rosie daje nura pod narzutę po prawej stronie, Harry mości się po lewej, wtulamy się w siebie. Wkrótce Harry zaczyna pochrapywać, Rosie opiera brodę na mojej kostce, koc unosi się i opada w rytm naszych oddechów, a mnie przepełnia wdzięczność. To, co robimy, jest niezbędne dla naszego dobrego samopoczucia, tak samo jak jedzenie, powietrze i woda. Zwyczajna wymiana ciepła, które wydzielają nasze ciała - ciała trzech stworzeń dwóch gatunków - syci nas, uspokaja, regeneruje i daje nam pocieszenie.

NIESPODZIANKI

Przez całą wiosnę co rusz się przewracałam. Potykałam się o korzenie, bruk i nierówne płyty chodnika. Zdarzało mi się poślizgnąć na kasztanie, gdy szłam z górki, albo upaść w błoto. Nieraz nogi plątały mi się w plastikowych śmieciach. Moje nowe buty były za duże, ale za to markowe, firmy Nike, i przewiewne; wykradłam je córce. Choć nie znosiłam takich niefortunnych przygód, muszę przyznać, iż ten ułamek sekundy, gdy człowiek wie, że upada na ziemię (w jego odczuciu trwa to całą wieczność), jest podniecający. Przekroczywszy sześćdziesiątkę, może znajduję jakąś przewrotną przyjemność w tym, że w pewnej mierze tracę nad sobą panowanie.

Przeżywamy właśnie falę upałów, psy muszą jednak chodzić na spacer, no i dziś rano upadłam na kamiennych schodach, które prowadzą do parku przy Sto Piętnastej Ulicy. Temperatura sięgała trzydziestu ośmiu stopni. Wyszłam z tego bez szwanku, nawet nie wypuściłam z rąk smyczy. Dwóch sympatycznych panów z ostrzyżoną suczką, której futro przypominało mechaty koc i która wcale nie była szczeniakiem, jak sądziłam, lecz miała jedenaście lat (Czym ją karmicie? - też powinnam przejść na taką dietę), otóż tych dwóch panów rzuciło mi się na pomoc, na szczęście nic sobie nie złamałam. Byłam w nerwach, bo nie włożyłam kompletu bielizny *de rigueur* w przypadku kobiety w moim wieku, ale żar lał się z nieba i po prostu nie zawracałam sobie tym głowy, a ponieważ tak się ubierałam w latach sześćdziesiątych, być może przypomniały mi się bez troskie, szalone dni młodości, do których wcale nie mam ochoty wracać myślami.

Rozmowa z miłymi panami o naszych psach dobiegła końca. Gdy

weszłam do parku, dostrzegłam coś dziwnego w zaroślach pod młodym drzewem. Przedmiot, który wyciągnęłam i dokładnie obejrzałam, był ponadmetrowej długości trójzębem, obwiązany czerwonymi i zielonymi wstążkami, z naklejką od jabłek fuji u nasady. Rozejrzałam się wokoło - może jakiś anonimowy artysta czeka gdzieś na swoją anonimową publiczność - ale nikogo nie zauważyłam. Rosie zwietryła jakieś zwierzę i zrobiła stójkę, gotowa puścić się w pogoń, Harry zaś ciągnął niewzruszenie w przeciwną stronę, wobec tego wetknęłam trójzab z powrotem w krzaki i zaczęłam schodzić ostrożnie po zboczu, uważając na leżące wszędzie żołądźce, podobne do rozsypanych kulek z łożyska. Raz zatrzymałam się, żeby wyjąć Harry'emu z pyska kurzą kość, a potem znowu, żeby pocieszyć Rosie, która nie mogła dopaść wiewiórki, choć wszystkie komórki jej rozedrganego ciała mówiły, co trzeba zrobić w tym celu. Na płaskim terenie każde z nas znowu zajęło się swoimi sprawami: Rosie polowała, Harry węszył, ja szukałam kolejnych wytworów ludzkiej ręki.

W parku Riverside działa artysta, a może nawet grupa artystów. Kilka miesięcy temu znalazłam kupkę gładkich, okrągłych kamieni, wyglądały jak złożone jajka, były wsunięte w zagłębienie pnia. Potem zobaczyłam nakrycie do posiłku - nóż, widelec, łyżkę, wszystko z gałązek - pod ogromnym wiązem. Na pniakach nieraz widziałam kompozycje z kamieni i gałęzi, podobne do ofiary złożonej na prowizorycznym ołtarzu. Opodal wielkiego głazu stała oparta o drzewo skomplikowana konstrukcja, która albo stanowiła część niedokończonego szalasu, albo przedstawiała połowę pajęczyny zrobionej z patyków. Dłuższą chwilę spoglądałam na nią z podziwem, ponieważ zdawała się przeczyć prawom fizyki. Chciałam

zrobić zdjęcie, lecz gdy przyszedłem następnego dnia, konstrukcja była zniszczona. Ogarnęło mnie przygnębienie, aż w końcu przemknęło mi przez myśl, że być może zrobił to sam artysta, niezadowolony z biegu rzeczy. Kiedy byłam tam wczoraj i szłam przez Rezerwat Ptaków, kilka kroków w bok od ścieżki zobaczyłam dwa patyczki wetknięte w ziemię, oddalone od siebie o dziesięć centymetrów i połączone na górze wygiętą gałązką. Wyglądało to dokładnie jak symbol oznaczający liczbę pi. No cóż, w końcu to terytorium hrabstwa Columbia.

Mam oczy otwarte na takie rzeczy, choć niewiele o nich mówię, wiedząc, że uważa się mnie za zapaleńca. Podczas pobytu w Szkocji latem tego roku chciałam pokazać mojej córce śliczną karmazynową plamę na trawie przed nami. „Jennifer! Zobacz!”, zawołałam. „To papierek po kit kacie, mamo”, rzekła spokojnie. Nie chcę sprawiać wrażenia, że jestem wariatką. Pewna znajoma opowiadała mi, że jej dom nawiedza duch dziecka, które robi laleczki ze sznurka, włóczki oraz szmatek i zostawia je na schodach. Włos mi się jeżył. Trzydzieści lat później nadal włos mi się jeży, choć teraz przypuszczam, że ona sama robiła te lalki. Któregoś wieczora w zeszłym tygodniu, po ulewnym deszczu, dostrzegłam kawałek materiału, zwinięty w kłębek pod krzakiem obok pomnika Louisa Kossutha przy Sto Trzynastej Ulicy. Okazało się, że to szal, mój własny, jak stwierdziłam, lepiej mu się przyjrzawszy. Zapewne zsunął mi się z ramion w jakiś wietrzny, deszczowy wieczór i pofrunął w krzaki, a teraz, brudny, mokry i ledwie widoczny, wyglądał zupełnie jak ślad pozostawiony na miejscu zbrodni.

Nigdy nie wiadomo, co rzuci się człowiekowi w oczy. W te upalne dni ludzie spali w parku; wśród nich był młody mężczyzna w czerwonej

kraciastej koszuli, który przychodził na wybieg dla psów, bo tęsknił za swoim zwierzakiem. Z sympatią odnosił się do Harry'ego. Zdaje się, że poprzedniego dnia ukradziono mu portfel i zależało mu na odzyskaniu karty bankowej, ale nie o tym chciał rozmawiać - wolał gadać o psach. Gawędziliśmy jakiś czas; miał łagodny głos. Następnego dnia natknęłam się na jego ciało w wysokiej trawie. Na szczęście żył; miałam nadzieję, że się nie obudzi i nie zobaczy, jak na niego patrzę. Szybko odeszłam razem z psami.

Ostatnio byłam w kiepskim nastroju, dokuczała mi noga po upadku, który tym razem skończył się złamaniem, do tego tęskniłam za mężem, nagle nanowo przepełniona smutkiem - i w tych dniach znowu coś się wydarzyło, coś podobnego do cudu. Na drzewie owocowym, w rozgałęzieniu pnia balansowały cienkie jak kości patyczki, które leżały rzędem obok siebie, podobne do coraz dłuższych pasm przędzy lub żebrowania kadłuba łodzi, albo powietrznej kołyski czy instrumentu dętego, a trochę dalej znajdowało się drugie drzewo z identycznymi i ledwie widocznymi patyczkami. Stałam jak wryta. A mówi się, że ludzie wydają okrzyk na widok znaleziska!

Oczywiście trafiają się również dziwy natury - kawałek gałęzi w kształcie głowy nura; korzeń do złudzenia przypominający żabę; charakterystyczna dla płaza łapa z wiciowymi palcami obejmuje inny korzeń; brukowiec opleciony korzeniami drzewa, które niby strumienie lawy spłynęły z pnia, i niby w strumieniach lawy unieruchomiony na zawsze w tej samej pozycji. Często widuję mężczyznę z małym synkiem, którzy na chodniku, przy wybiegu dla psów, układają z patyków litery alfabetu, oraz ludzi z wprawą ćwiczących tai chi, wyglądających jak

postacie na jakimś cudownym zegarze i zdających się niweczyć czas swymi spowolnionymi ruchami. Pewnego piątkowego popołudnia, wyglądając przez okno kawiarni, dostrzegam chłopca o pięknym uśmiechu i muskularnej sylwetce. Chłopiec jest pracownikiem przedsiębiorstwa budowlanego i wraz z resztą ekipy rozkłada rusztowanie, które stało tak długo, że nie pamiętam, co tu było przedtem. Demontaż jest specyficzną sztuką - każdy element trzeba odłączyć we właściwym czasie. Pręty demontuje się po kolei, odkręcając śruby, i podaje na dół; pomosty podnosi się i spuszcza na trotuar. Z przyjemnością patrzę, jak chłopiec napawa się swoją siłą, wrzuca ciężkie stalowe pręty na ciężarówkę, uśmiechając się do kolegów, z których wszyscy przewyższają go doświadczeniem. Czuję, że oni są z niego zadowoleni i traktują go życzliwie. Chłopiec ma może dwadzieścia lat, przed nim całe życie. Jak by to było, mówię w duchu, gdybym znów miała dwadzieścia lat? Ale nie potrafię sobie tego wyobrazić. Gdy ponownie podnoszę wzrok, nie ma już ani ciężarówki, ani ekipy budowlanej, rusztowanie zniknęło, pojawiły się rachityczne drzewa, całe w liściach.

FREGATA WIELKA

Rich był obskrwatorem ptaków, z zamiłowania; mamy listy okazów, które widział w Central Parku, gdy był w czwartej klasie. Sporządzał notatki miękkim ołówkiem, mocno go przyciskając. Modrosójka błękitna, dziwonia ogrodowa, kruk... Gdy miał dwadzieścia kilka lat, pewnego razu wypatrzył niedaleko Jones Inlet fregatę wielką, którą przywiał huragan. Podczas wieloletnich obserwacji nigdy nie był tak dumny jak wtedy. Na jego komodzie stoi teraz niewielka kolekcja najróżniejszych ptaków - ptaki nabrzeżne, długonogie brodzące stworzenia; gągołek, którego ulepił z gliny w siódmej klasie; dwa ptaki - wabiki, które kupiliśmy na aukcji; czerwona kura z plastiku (moja), która zgrabnie składa trzy białe jajka, gdy lekko przycisnąć jej grzbiet; kruk z papier mâché, maskotka przedstawiająca Starego Kruka w eleganckim cylindrze, która ogromnie przypadła mi do gustu, bo coś w wyrazie jego twarzy przywodziło mi na myśl mojego ojca. Jest tam również pudełeczko na ziarno, pozostałość po podróży, którą siedemnastoletni Rich odbył ze swoim przyjacielem; przemierzyli cały kraj i po drodze najmowali się do pracy na farmach. Pudełeczko ma związek z ptakami. Co dawniej leżało na komodzie? Tacka na drobne pieniądze, portfel Richa, świstki, na których notował sprawy do załatwienia, zdjęcie przedstawiające nas przed domem jego brata, zrobione kilka tygodni po naszym ślubie. Latarka - a nuż się przyda. Zapasowy budzik - a nuż się przyda. Rich był przygotowany na wszelkie ewentualności. Zawsze nosił w portfelu kilka plastrów i miał drugą chustkę do nosa, gdyby ktoś potrzebował. Przy sekretarzyku postawiłam dracnę wonną, zieloną, gęsto ulistnioną roślinę. One nigdy nie usychają.

W każdą środę jadę odwiedzić męża. Moja przyjaciółka Ruth

przyjeżdża po mnie o ósmej, więc muszę wstać o szóstej, żeby wyprowadzić psy, przeczytać gazetę i wypić kawę. Jazda na północ trwa parę godzin, w zależności od natężenia ruchu; przez ostatnich kilka miesięcy zbliżyliśmy się do siebie. Naszym celem jest Kingston. Znalazszy się na miejscu, idziemy do kawiarni Monkey Joe's, gdzie podają fantastyczne cappuccino i rewelacyjne bułeczki z dynią, serwowane na ciepło. Spędzamy tam dwadzieścia minut, a potem Ruth idzie do szpitala benedyktynek, gdzie pracuje, ja zaś zmierzam do automatu telefonicznego za lokalikiem, który serwuje pikantne kurze skrzydełka i zawsze wygląda tak, jakby wkrótce miał być ponownie otwarty. Dzwonię po taksówkę i jadę do ośrodka rehabilitacji, gdzie od jedenastu miesięcy przebywa mój mąż.

Gdy wchodzę do pokoju, zdarza się, że Rich jeszcze śpi, ma rozluźnioną twarz, wygląda jak to on, aż trudno mi uwierzyć, że nie obudzi się w dużo lepszym stanie. Czasami zdążył już wstać, znieruchomiał w trakcie jakiejś czynności, stojąc tyłem do drzwi, z uniesionymi jak dyrygent rękami, i sprawia wrażenie, jakby z niewiadomych powodów udawał, że jest posągiem. Albo siedzi na łóżku, trzyma w ręku obie skarpety, obok niego leżą przygotowane do włożenia spodnie. Po zwyczajowym powitaniu: „Absie! Jak mnie znalazłaś?” lub: „O której wstałaś? W ogóle cię nie słyszałem” znowu popada w milczenie. Pielęgniarki opowiadają, że niekiedy godzinę czy dwie stoi w łazience przed lustrem (z lśniacej blachy) i trzyma szczoteczkę do zębów. Zapewne takie zachowanie mają na myśli specjaliści od urazów mózgu, gdy mówią o „trudnościach z wykonaniem zadania”.

Gdy usłyszałam to określenie pierwszy raz, wyobraziłam sobie

dziecko, które nie potrafi zawiązać sznurowadeł, dorosłego człowieka, który nie pamięta, jak się robi jajecznicę, pomyślałam o jakiejś dostrzegalnej trudności, widowym fiasku, o czymś, czego można się na nowo nauczyć. Nie miałam pojęcia, co to znaczy być zablokowanym. Do mojego męża nie dociera fakt, że coś się wydarzyło przed chwilą, nie dociera do niego stwierdzenie „siedzę tu już półtorej godziny”. Taka informacja nie mieści się w świadomości Richa. Dla niego przeszłość się rozpadła. Jeżeli czegoś nie pamięta, nie daje temu wiary. A skoro wszystko dzieje się w teraźniejszości, nie ma pośpiechu. Próbowałam wpływać na niego zachętą i namową („nakierować” go, jak mówią specjaliści od pourazowych uszkodzeń mózgu), ale to go jedynie złościło i mieszało mu w głowie. Wobec tego dostosowałam się. Dostroiłam się do Richa. Siedzimy razem, zanurzeni w tej jednej chwili, w godzinie dziesiątej trzydzięci siedem, a za ścianami pokoju przechodzi i znika cała godzina. Zawsze ogarnia mnie zdumienie, gdy spoglądam na zegarek i stwierdzam, jak wiele czasu tam spędziliśmy.

Gdy Rich już jest na nogach, widzę, jak wolno się szykuje. Wybieramy razem ubranie. „Te rzeczy nie są moje”, twierdzi Rich, ale jakoś udaje się nam z tym uporać. Wkłada skarpety w taki sposób, w jaki robił to zawsze - zwija je, nasadza na palce, wciąga powoli na stopę, centymetr po centymetrze, i nasuwa na piętę. Potem spodnie, następnie koszulę, którą zapina starannie na guziki i porządnie wpycha w spodnie. Od jakiegoś czasu się nie goli, za to wyrywa jeden po drugim włosy z brody. To ma jakąś nazwę, ale uleciała mi z pamięci.

W zeszłym tygodniu nie odezwał się do mnie ani nie uśmiechnął na powitanie. Nie chciał wziąć mnie za rękę. To było zupełnie do niego

niepodobne.

- Co się stało? - spytałam.

- Rozwiedliśmy się - odparł takim tonem, jakbym była debilką.

- Jesteśmy małżeństwem, Rich - powiedziałam. - Pobraliśmy się czternaście lat temu. Jesteś moim mężem - dodałam, dotykając jego ramienia. - A ja jestem twoją żoną.

Obrzucił mnie zimnym spojrzeniem.

- Słowa przezroczyście jak szyba - burknął.

Rich nie wierzy, że doznał urazu mózgu, wobec tego wymyślił sobie powód mojej nieobecności: rzuciłam go.

- Zostałem sam - rzekł, szerokim ruchem ręki omiatając korytarz. - Setki pojedynczych łóżek - ciągnął. - Setki pojedynczych łóżek, a na nich leżą starcy w butach.

Czas się wypaczył, splątał jak żyłka wędki - czy coś zachowało jeszcze sens? Jak to możliwe, że już dwa lata minęły od wypadku? Przeliczam ten czas na miesiące, na tygodnie, lecz liczby nie wydają mi się ani prawdziwe, ani istotne. Sto cztery tygodnie. Dwadzieścia cztery miesiące. Czas garściami przeleciał mi przez palce. Pory roku przemknęły jedna za drugą, zanim zdążyłam pojąć, czym jest „zima” lub „wiosna”. Nie wiadomo, jak przekroczyłam sześćdziesiątkę; tylko patrzeć, a Rich będzie miał siedemdziesiąt lat. Byłoby to okazją do urzędzenia przyjęcia, a tak ostatnie urodziny minęły niespostrzeżenie, podobnie ostatnia rocznica. Dwa lata od wypadku. W tym czasie dziecko już by mówiło, chodziło, włąziło, gdzie się da. „Czas powiewa na maszcie”*, napisała Virginia Woolf w *Pani Dalloway*. W naszym wypadku czas zwisa z masztu. Bywa, że nie mam pewności nawet co do masztu. Coś przestało tykać

dwudziestego czwartego kwietnia dwutysięcznego roku. Nasze wspólne lata dobiegły końca, nasza wspólna przyszłość uległa zmianie. W chwili zadziwiającej jasności myślenia Rich powiedział do mnie: „Moja przyszłość została zdemontowana”.

Tydzień temu przez godzinę nie chciał na mnie spojrzeć.

- Jeśli mogę żeglować tą już wezbraną rzeką egocentryzmu - rzekł w końcu - ludzie pożyczają rzeczy bez pytania.

- Jakie rzeczy? - zapytałam z wdzięcznością i rozmowa zeszła na inny temat.

Przez resztę popołudnia wertowaliśmy *Atlas ptaków* Sibleya, który kupiłam Richowi rok wcześniej. Długo oglądaliśmy kaczki, dzięcioły i drozdy. Rich nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział fregatę wielką, a ja nie upierałam się, że tak było. Pamięć długotrwała funkcjonuje czasem bez zarzutu, lecz jemu wyleciał z pamięci ten wietrzny dzień sprzed lat na Long Island.

Ruth, zaprzyjaźniona ze mną terapeutka, która pomaga ludziom po stracie bliskich, twierdzi, że większość wdów lepiej pamięta ostatnie tygodnie życia swych mężów niż resztę wspólnego życia. Nie owdowiałam, ale mój mąż nie jest takim samym człowiekiem, jakim był niegdyś. Koncentruję się na tym, jaki jest Rich w danej chwili, i tracę z oczu to, jaki był, jacy oboje byliśmy. Moja przyjaciółka Denise musiała mi przypomnieć, jak to pewnego razu mieliśmy gości w naszym domu w Greenport i wczesnym rankiem Rich poszedł kupić kilka gazet oraz masę babeczek, croissantów, słodkich bułeczek. Wyleciało mi to z pamięci, a gdy sobie przypominałam, smutek ścisnął mi serce. Rich robił świetne omlety. Zdarzało się, że gdy nie miałam ochoty szykować kolacji i w

domu było niewiele do zjedzenia, Rich smażył sobie omlet. Zawsze pytał, czy ma usmażyć i dla mnie, a ja odpowiadałam niezmiennie: „Nie, dziękuję”. Ale widok doskonałego omletu przysmażonego gdzieś na brązowo, zsuwającego się z patelni, pachnącego masłem, czasem wędzonym łososiem dorzuconym w ostatnim momencie, osłabiał moją determinację i Rich nakładał mi na talerz okazałą porcję, namawiając do zjedzenia. Pamiętam, jak budził mnie w Greenport, podając filiżankę cappuccino z kawiarni Aldo. W któryś weekend, gdy Sarah, Cornelius i Kathy przyjechali do nas w odwiedziny, zajrzeliśmy do książki Audubona* po informacje o fregacie wielkiej i wyczytaliśmy, że samiec ma czerwone podgardle, które rozdyma, by zwrócić na siebie uwagę samicy, ale pełny efekt osiąga dopiero po półgodzinie. „Puf puf... jeszcze chwila, kochanie... puf puf!”. Siedzieliśmy w kuchni przy stole i boki zrywaliśmy. Jak dawno temu to było? Jedynym sposobem, by poradzić sobie z tragedią, jest otoczenie jej kordonem dat, ale te liczby nic nie znaczą. Natomiast na myśl, ile kurzu zebrałoby się na komodzie Richa, narastają emocje. Nie ma to jak kurz.

Gdy Rich jest gotowy, dostajemy przepustkę, z którą możemy wyjść poza oddział zamknięty i zejść na dół do kawiarni. W tym tygodniu Rich ma lepszy nastrój, oboje chętnie idziemy na lunch. Rich bierze tacę i przechodzi prawą stroną sali, obok koszyków z przyprawami, dokładnie sprawdza zawartość każdego, po czym kładzie dwa opakowania na tacy. Śliskie torebeczki z majonezem, keczupem, dżemem, czymś niewypowiedzianie obrzydliwym o nazwie „syrop stołowy”, sosem tatarskim, margaryną, dressingiem do sałatek. Taca szybko pokrywa się srebrzystymi foliowymi paczuszkami. Serwetki, dwa noże, dwa widelce,

dwie łyżki. I masa, masa słonych krakersów. Ja robię mu tymczasem kanapkę z sałatką jajeczną, wrzucam sałatki do misek, zgarniam kilka bananów. Spotykamy się przy kasie. „Nie mam pieniędzy”, odzywa się z niepokojem Rich, na co odpowiadam, że to ja funduję lunch. (Po zważeniu mojej kanapki z serem okazuje się, że mam zapłacić za nią trzydzieści dwa centy). Znajdujemy wolny stolik i wyładowujemy jedzenie. W zeszłym tygodniu, kiedy to byliśmy po rozwodzie, Rich rozejrzał się dookoła i powiedział: „Ci wszyscy ludzie wsadzają swoje pączki do filiżanki pełnej smutku. Mam nadzieję, że nie ma w niej domieszki Styksu”. Dzisiaj znów trzymamy się za ręce, szczęśliwi, że możemy być razem. Zjadamy lunch, idziemy po następną filiżankę kawy, odwijamy krakersy. Po jedzeniu Rich sięga po przyprawy, ostrożnie otwiera każdą torebeczkę, wygarnia albo wyciska zawartość na krakersy i je zjada. Przypomina powodowane ciekawością i pełne zdecydowania dziecko.

Chcę, żebyśmy wrócili na górę o wpół do drugiej, kiedy wyznaczono czas na papierosa. W stołówce na oddziale neurologicznym wydziela się papierosy po posiłku i wystawia z szafy ciężkie, stalowe popielniczki. Personel rozdaje fajki i podaje ogień palaczom, a palą niemal wszyscy - ja również, Bóg świadkiem. Jeden z pacjentów, pan Mendez, ma piękny głos i na prośbę zebranych śpiewa teraz po hiszpańsku *Gwiaździsty Sztandar*. Trzyma się blatu stołu, wystukuje stopą rytm i przed zakończeniem każdej frazy z dostojeństwem oddycha przeponą, nie zmieniając tempa hymnu. Śpiewa i śpiewa przez piętnaście minut - gdzieś zacięła mu się płyta - i potem, sama nie wiem jak i w którym miejscu, pieśń dobiega końca. Pan Mendez kończy hymn, a raczej przestaje śpiewać. Bijemy brawo, on zaś przyjmuje uznanie ze skromnością, ale nie z pokorą. Gdy cichną oklaski,

rozgląda się wokoło z uśmiechem i mówi: „To jest Ameryka”. Dziękuje ukłonem.

Zeszłej zimy pojechałam na tydzień do Meksyku, na półwysep Jukatan, gdzie czas stoi w miejscu, a przynajmniej nie warto pytać o godzinę. Człowiek wstaje o świcie, je, gdy odczuwa głód, kładzie się spać o zmroku. Przez resztę czasu wyleguje się na słońcu albo pływa w morzu. Widziałam tam pelikany, które niezdarnie, jak to one, wbiegały do wody; któregoś dnia przeleciało nad nami pięć niesamowicie różowych flamingów - nagle wszyscy poderwali się i osłonili oczy przed słońcem jak widzowie na stadionie, którzy wstają, żeby zobaczyć *grand slam*. Potem zauważyłam dwa inne ptaki - rozpoznałam je od razu, choć nigdy dotąd ich nie widziałam. Zanim wyciągnęłam aparat fotograficzny, wzbiły się już wysoko w przestworza i stały punkcikami na niebieskim niebie. Pstryknęłam fotkę, ale trudno byłoby je rozpoznać. Tam w górze mogły być czymkolwiek.

**Część
trzecia**

JAK NAUCZYĆ SIĘ ŻYĆ W SAMOTNOŚCI

Zaledwie trzy dni miałam nowy samochód, gdy, cofając, uderzyłam w drzewo, zbiłam tylną szybę i wgniotłam karoserię. Drzewo (wyłaniające się we mgle niczym widmo) rosło na parkingu przy sklepie z artykułami żelaznymi, a w samochodzie znajdowały się dwa nowe pojemniki na śmieci. Wstrząśnięta, jechałam z powrotem do domu, słysząc za plecami brzęk szkła i zapewne zostawiając odłamki na szosie. Wjechałam na podjazd niedawno kupionego domu, oparłam głowę na kierownicy i czekałam. Na co? Na rosłego mężczyznę, który przyjedzie i wszystko załatwi. Czy wspomniałam, że padał deszcz? Że na liczniku było czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć kilometrów?

Gdy nikt się nie pojawił, weszłam do domu i zadzwoniłam do dzieci. Moja córka Jennifer, zapewne wyrażając opinię pozostałych, powiedziała życzliwie: „Mamo, musisz się wreszcie nauczyć prowadzić samochód”. Nie było sensu upierać się, że umiem prowadzić. Jennifer poradziła mi zadzwonić do dilera samochodowego. Tak też zrobiłam. Diler tylko westchnął i zaproponował, żebym skontaktowała się z warsztatem, gdzie wstawiają szyby. Pracownik warsztatu polecił mi udać się do blacharza, ten zaś uznał, że należy zawiadomić towarzystwo ubezpieczeniowe, co jeszcze nie przyszło mi do głowy. Pani z towarzystwa ubezpieczeniowego powiedziała: „Och, lepiej nic im nie mówić. Pozbędą się pani jak zgniłego jajka”. Twierdziła, że od początku nie mieli ochoty mnie ubezpieczyć, bo mam sześćdziesiąt lat, po raz pierwszy w życiu ubezpieczam samochód, nie przejechałam ani jednego kilometra przez ostatnie trzy lata i mieszkam w Nowym Jorku.

W dawnych czasach samochodem zajmował się mój mąż Rich.

Jeździł na przeglądy, wymieniał olej, nawet przekładał opony. Gdyby teraz był przy mnie, mogłabym lamentować, że tego wieczora parking tonął we mgle i drzewo ledwie majaczyło, po czym on zaprowadziłby mnie na górę do sypialni, zapakował do łóżka i sam wszystkim się zajął. Ale nie było go przy mnie. Niezbitym faktem było zaś to, że cofając się, wjechałam w drzewo. Nic innego nie miało znaczenia - zła pogoda, skromne zakupy, mały parking, nic. Cofając się, wjechałam w drzewo. Jeżeli nie chciałam dalej marnować energii, powinnam pogodzić się z tym faktem. W rezultacie okazało się, że otworzenie książki telefonicznej z żółtymi stronami to nic trudnego. Ku własnej radości przekonałam się, że mam umiejętności praktyczne - umiem przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych, żeby oddać samochód do naprawy - i po paru tygodniach auto wróciło do mnie prawie jak nowe. To drobne osiągnięcie wywołało we mnie podniecenie. Może wreszcie wchodziłam w dorosłość.

Wykazywanie umiejętności praktycznych zawsze było dla mnie czymś nieosiągalnym, wprawiało mnie w stan napięcia, a nawet serdecznego rozbawienia - ludzie praktyczni wiedzą, do czego służy lewarek, jak wymienić bezpiecznik lub przewód w lampie, ale nie ma w tym nic kobiecego ani seksownego. W sytuacjach kryzysowych, na przykład gdy siadło powietrze w kole albo nastąpiła awaria ciepłej wody, zawsze udawałam ofiarę losu. Dlaczego? Bo wiedziałam, że mogę sobie na to pozwolić. Takie zdarzenia bynajmniej nie przestały być dla mnie czymś nadzwyczajnym, ale już nie tracę głowy, ilekroć w domu coś zazgrzyta lub kaloryfery zrobią się lodowate. Gdy znowu wysiada piec, włączam światło w piwnicy, schodzę zdecydowanym krokiem po schodach, zbliżam się do swojego kosmicznego pieca, przekręcam zawór i

wlepiam wzrok w szklaną rurkę, która musi się napełnić, ale tylko do pewnej wysokości. Jeżeli napełni się za bardzo, woda tryśnie mi z sufitów. Muszę zrobić to wszystko, w przeciwnym razie pękną mi rury. Gdybym zapakowała się do łóżka, mogłabym się obudzić w domu zniszczonym przeciekami.

Minęły już prawie trzy lata od dnia, gdy Rich miał wypadek. Kupiłam ten dom, znajdujący się zaledwie o dwadzieścia minut drogi od miejsca, gdzie on przebywa. Jak to się zdarza u ludzi, którzy doznali pourazowego uszkodzenia mózgu, Rich zaczął cierpieć na przedwczesną demencję. Nie wiem, czy pamięta coś z naszego dawnego życia - poprzednie mieszkania, prowadzone rozmowy, zwyczaje. Z trudem przypominam sobie, jacy byliśmy przed tym wypadkiem. Lata, które potem nastąpiły, to koszmar - okresowe napady psychozy, potworne paranoje, ataki wściekłości, stany będące skutkiem urazu mózgu. Teraz Rich znalazł spokój, czuje się w swojej skórze, często żartuje, ataki furii minęły, paniczny lęk ustąpił. Nasze rozmowy często nie mają sensu, ale są wspaniałe. „Wycisnęłaś te wszystkie kolory z owoców”, zauważył któregoś dnia Rich. Robiłam na drutach szalik z czerwonej i fioletowej włóczki. „Zgadza się”, odparłam. Rich napomyka czasem o „dziergającej pani” i „tej drugiej Abby”, a gdy mówię mu, że jest tylko jedna Abby, która właśnie siedzi obok niego, przytakuje i dodaje łagodnie: „Ale jest również ta druga Abby”. Co ja tam wiem? Może mam jakiegoś tajemniczego sobowtóra, który znajduje się w kącie pokoju albo w holu.

Sobowtóry, zjawy... zawsze dopuszczałam do siebie możliwość ich pojawienia się i poniekąd w tym tkwił sęk. Począwszy od jedenastego roku życia, kiedy to byłam przekonana, że na ulicach Saint Paul czyha goryl

(mimo sześciometrowych zasp), przez całe życie doznawałam irracjonalnych lęków. Gdy mieszkaliśmy w Minnesocie, mój tato musiał stać na werandzie z tyłu naszego domu, a pani Rice na werandzie z tyłu swojego domu, żebym mogła przebiec z krzykiem tę odległość po wieczorze spędzonym z moją przyjaciółką Karen na grze w monopol. Pewnego lata wynajęliśmy z Richem małą chatę w lasach Maine - „byłoby jak najdalej od ludzi, bo nie chcę widzieć innych domostw”, tak sobie ubzdurałam. Czułam się okropnie. Nie było tam żywej duszy. Gdy leciwy pan, który wynajął nam ten dom, powiedział uspokajająco, że w ciągu trzydziestu lat dokonano tam tylko jednego włamania „i nie zabrano nic więcej prócz siekiery”, chciałam natychmiast wyjechać. Zostaliśmy. Co noc leżałam wpatrzona w sufit i czekałam, aż rozlegną się odgłosy kroków zapowiadających dokonanie na nas krwawej egzekucji. Sytuacji nie poprawiało to, że w salonie roilo się od kosarzy, a na ścianach wisiały dla ozdoby narzędzia gospodarskie, z którymi styczność mogła być niebezpieczna. Sytuacji nie poprawiło też to, że w swojej prostoduszności zabrałam do czytania *Milczenia owiec*. Rich nie odczuwał strachu. Starał się być pomocny i po prostu się nie bał. Mimo wszystko wyjechaliśmy dzień wcześniej. Rich dzielnie prowadził samochód w najgorszą ulewę, jaka kiedykolwiek przeszła nad światem, by dowieźć mnie do Nowego Jorku, kochanego i bezpiecznego. Od tamtej pory nigdy nie reflektowałam na wolno stojący dom na wsi. Ludzie obok mnie, nade mną i pode mną to jest moje naturalne środowisko. Miliony ludzi dookoła.

A jednak wylądowałam tutaj. Dzisiaj, gdy podczas wieczornego spaceru z psami widzę światło na poddaszu, najzwyczajniej nie podnoszę ponownie wzroku. Żeby tak postępować, nawet nie trzeba mieć silnej

woli. Stoję przed wyborem: albo oszaleć ze strachu, albo wziąć się w garść. Obraz małej istoty, która być może siedzi skulona w jakimś zakamarku i je kanapki z masłem orzechowym, wyrzucając twardą skórkę, zapewne byłby dla mnie wstrząsem, potrafię jednak odpędzić taką myśl. Następnego ranka sprawdzam, który wyłącznik zawiaduje światłem na poddaszu (nie miałam o tym pojęcia), i przekręcam kontakt. Nakłaniam mojego przyjaciela, żeby towarzyszył mi, gdy pierwszy raz wejdem na strych. Rozkładamy schodki, robimy obchód i przekonuję się, że nie ma tam żadnych zakamarków ani gargulców i że lepiej jest obejrzeć poddasze, niż go nie oglądać. Często dochodziły mnie inne dziwne hałasy. Z początku podzwaniały na oszklonej werandzie dzwonki wietrzne, całe mnóstwo, w bezwietrzne dni. Nie miałam ochoty ich zdejmować w obawie, że nadal bym je słyszała, ale moja najmłodsza córka, rozdrażniona do ostateczności ciągłym dzwonieniem, odcięła je bez zastanowienia i od tego czasu mamy spokój. Potem rozległo się jakieś walenie, które obudziło mnie i psy o pierwszej w nocy. Wyskoczyłam z łóżka i zeszłam na dół, głośno tupiąc, włączając po drodze wszystkie światła i wrzeszcząc na cały głos, żeby sprawca tych hałasów wynosił się z mojego domu. Dudnienie nie ustawało, więc zarówno psy, jak i ja postanowiliśmy sprawdzić, skąd się bierze. Mimo strachu, a był potężny, z radością stwierdziłam, że mój gniew jest silniejszy od lęku. Nie zamierzałam kulić się z przerażenia w sypialni ani zamykać się w szafie. Postanowiłam wejść do jaskini lwa, która - tak czy owak - była moją jaskinią. Ilekroć zbliżaliśmy się do źródła hałasu, ustawał i po chwili rozlegał się w innym miejscu. „To mój dom!”, krzyknęłam w którymś momencie, stojąc na szczycie schodów prowadzących do piwnicy. (Tylko wtedy psy naprawdę miały stracha). W

końcu położyliśmy się na kanapie, przy zapalonych wszędzie światłach, i postanowiliśmy przetrwać tak do rana. Mój przyjaciel Chuck zaproponował potem, że na oblewanie nowego domu kupi mi w prezencie piłę łańcuchową. Będę mogła trzymać ją pod poduszką. Gdy pojawię się w luźnej flanelowej koszuli nocnej, dzierżąc w ręku piłę łańcuchową, bez wątpienia każdemu napędzę pietra. Dla ścisłości dodam, że nie zdołałam odkryć, skąd się brało to dudnienie, ale na szczęście więcej się nie powtórzyło.

Spokojnie mi się tu mieszka. Jakieś cmokanie nad kominkiem? Nawet nie podnoszę wzroku znad robótki. Jakieś szuranie (głęboki wdech), jakby ciągnięto coś po podłodze? Dźwięk, który przechodzi w ciężkie posapywanie (przez wielkie nozdrza) i wydobywa się (jak się później okazuje) z każdej ściany w całym domu? Nie ma sprawy. Jeżeli nie słyszę skrobania paznokciami, a nie słyszę, to zabieram psy i idę spać. Te odgłosy są prawdziwe i niewątpliwie mają logiczne wyjaśnienie, ale w środku nocy logika nie jest moją towarzyszką, zatem lepiej, żebym panowała nad swoją wyobraźnią. Ciepłe ciała z mojej lewej i prawej strony pod pościelą są doskonałymi druhami. Czuję, jak szeroki uśmiech wypływa mi na twarz, gdy pomyślę, że koegzystujemy z posapującymi i pomrukującymi ścianami. Dawniej prysnąłabym z domu w ułamku sekundy, ale gdybym to zrobiła, być może nie zdołałabym tu wrócić.

Wiem, dlaczego tu jestem. Kocham ten dom i tę miejscowość; ludzie, których poznałam, już są mi drodzy. A Rich znajduje się zaledwie dwadzieścia minut drogi stąd. Dzisiaj jest nieogolony, wolnym krokiem idzie do łazienki, gdy wchodzę. Ma na sobie pogniecione drelichowe

spodnie i flanelową koszulę, którą widzę po raz pierwszy - pewnie prezent od jego córki Sally. Patrzy na mnie ze zdziwieniem i radością. „Absie!”, woła. Ma zimne ręce. Cały emanuje słodyczą. Jego uścisk wciąż rozgrzewa mnie jak nic innego na świecie. Schodzimy do pracowni plastycznej, mijając wielkie akwarium ze złotymi rybkami. Rich mówi zazwyczaj, jak bardzo się spasyły, ale dziś staje przy akwarium. „Zastanawiam się, czy one wiedzą, gdzie są, powiada, czy pamiętają inne akwaria”.

W środku nocy przypomina mi się jego uśmiechnięta twarz i duszki zmykają. A jeśli nie zmykają, to zmuszam je do odwrócenia wzroku.

JAK ROZDZIELIĆ WALCZĄCE PSY

Chwyć mniejszego psa za zadek i pociągnij. Albo chwyć większego psa za zadek i pociągnij. Nie myśl o tym, że cię ugryzie. Albo przypomnij sobie, co w tej sytuacji zrobiła twoja przyjaciółka Claudette, i dla rozładowania napięcia przywołaj jej słowa: „Wrzasnęłam i rzuciłam w nie ręcznikiem papierowym”.

Zawsze miej przy sobie pistolet na wodę, wypełniony odstraszającym płynem. Postaraj się zapamiętać nazwę jakiejś nieszkodliwej substancji, której nie lubią wszystkie psy. Rozważ zastosowanie amoniaku albo soku z cytryny. Gazu łzawiącego. Noś na szyi gwizdek, który wydaje przeraźliwy dźwięk. Miej pod ręką puszkę po kawie pełną monet, którymi będziesz potrząsać. Po walce, w której twoja suka Carolina przygryzła sobie język i zabryzgała ci spódnicę krwią, zaszokuj samą siebie, oświadczając: „Czuję się zupełnie jak Jacqueline Kennedy”. Rozważ tę zaskakującą skłonność do żartów w sytuacji, która przez ostatnich czterdzieści lat doprowadzała cię do łez, gdy tylko o niej pomyślałaś. Spróbuj znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego ta kwestia nie jest już dla ciebie taka ważna. Uświadom sobie, że jedenastego września wszystko się zmieniło.

Zatrudnij tresera psów, a potem bądź niedostępna nie z własnej winy przez następne trzy miesiące. Podczas jego pierwszej wizyty postaraj się mieć uraz kręgosłupa, co spowoduje, że poruszając którąkolwiek częścią ciała prócz oczu i ust, będziesz wyć z bólu. Po wyjściu tresera przypomnij sobie wszystkie błędy, które popełniłaś jako matka, a gdy ogarnie cię depresja, posprzeczaj się z ukochaną córką, w wyniku czego depresja pogłębi się do tego stopnia, że nie będziesz mogła zebrać myśli. Po roku

zadzwoń do swego psychiatry, wtedy okaże się, że właśnie wyjechał na trzy tygodnie z miasta. Porozmawiaj z przyjaciółką, której zdaniem powinnaś zastanowić się nad tym, czy nie ma pewnych podobieństw między konfliktami wśród psów a wśród członków rodziny, zaś wnioski płynące z obserwacji psów zastosuj w odniesieniu do ludzi. Uprzytomnij sobie, że zarówno psy, jak i ludzie są dla ciebie zagadką i w żadnej sprawie nie jesteś w stanie nic zrobić. Gdy psy znowu zaczną warczeć, krążąc wokół siebie, z impetem otwórz drzwi kuchenne i zdecydowanym krokiem zejdziesz po schodkach do ogrodu, wołając: „Jeżeli natychmiast nie przestaniecie, opuszczę ten dom na zawsze!”. Zdaj sobie sprawę, że te słowa padły z twoich ust zapewne nie po raz pierwszy. Pomyśl o dzieciństwie swoich dzieci i pogrąż się w otchłani zwątpienia.

Zmień podejście. Po pierwszym gniewnym warknięciu wstań i wyjdź z pokoju. Takie zachowanie można określić jako „wyeliminowanie się z równania” - spróbuj przypomnieć sobie, jaki to ma związek z matematyką. Bez powodzenia. Zauważ, że po twoim odejściu psy tracą ochotę do walki, i zastanów się, czy wina zawsze leży po twojej stronie. Napawaj się bezsensowną myślą o padającym w lesie drzewie. Dostrzeż i zacznij doceniać to, że psy nie przepraszają. Gdy każdy z nich wypowie swoje zdanie, puszczają się przez jasnozielony trawnik, mają podniesione ogony i trącają się bokami. Bolej nad tym, że człowiek notorycznie przeprasza i zaraz znowu coś partaczy. Bądź gotowa, gdy po długim milczeniu odezwie się twoja córka. Okaż radość powściągliwie.

Nie wyciągaj daleko idących wniosków, gdy powie, że niedawno kupiła sobie psa.

PSIA MOWA

Rosie potrzebowała rozrywki, ja zaś nie nadawałam się do takich zabaw. Znużyło mnie bieganie za nią, żeby oddała mi obślinioną piłkę, której i tak wcale nie chciałam; receptory Rosie nie odbierały polecenia „zostaw”. Biedny Harry stał niewzruszenie, gdy zataczała wokół niego koła, szczekając i podgryzając mu tylne łapy, by pobudzić go do działania. Nadaremnie. Potrzebowała kogoś, kto sprosta wyzwaniu, więc zaczęłam przyglądać się psom do adopcji. Poznałam dużego, swawolnego, czarnego labradora nieczystej rasy, który by nas zdominował; poznałam ślicznego husky o niebieskich oczach, który nie znosił mężczyzn, i maleńkie stworzenie przypominające srebrzystą brew, które biegało po domu, ale na jego widok Harry warknął, kłapnął paszczą i tyle - cierpiący na alergię właściciel chwycił pieska w ramiona i już ich nie było. Niewiele brakowało, a pewnego deszczowego wieczora przygarnęłabym ciężarną dalmatynkę. Właściciele sklepu zoologicznego zaproponowali, że pokryją rachunki za opiekę weterynaryjną i pomogą znaleźć domy dla szczeniaków - tak bardzo chcieli ją komuś oddać. Nie dopytywałam się, w jakich okolicznościach zaszła w ciążę, ale sprawcą był, jak mi powiedziano, cocker spaniel. Elvina leżała na podłodze w sklepie Dog - a - Rama i unosiła głowę z ledwie widocznym zainteresowaniem, gdy delikatnie głaskano ją po grzbiecie. Była w kropce i wiedziała o tym. Właściciele sklepu - sympatyczni panowie, którzy mówili z jakimś nieznanym mi, regionalnym akcentem - byli wyraźnie zmartwieni. Ludzie chcieliby mieć za darmo dalmatyńczyka, powiedzieli mi, ale nie ciężarną sukę.

Wkrótce rozpoczynały się zajęcia wieczorowe, które prowadziłam

opodal, i nie widziałam przeszkód, żeby zabrać ze sobą tę suczkę, ale coś mnie powstrzymało. Musiałam wszystko przemyśleć. Czy zdołam ją ochronić? Co będzie, gdy moja żywiołowa Rosie zacznie nakłaniać ją, by wstała i zaczęła się bawić? A może Harry nie polubi szczeniaków? Gdy byłam mała, nasz jamnik Max zagryzł miot kociąt. Czy zapewnię bezpieczeństwo maleństwu? Przeprowadziłam w grupie ankietę i wszyscy co do jednego byli za adopcją - ale w kursie uczestniczyli pisarze, a ci proponują coś tylko po to, by zobaczyć, co się później wydarzy. Moi znajomi zachowali się z większą rozwagą - jeden z nich parsknął śmiechem, jakby wyrażenie „ciężarna dalmatynka” było puentą świetnego dowcipu. Wróciłam do domu o północy i zadzwoniłam do swojej córki Jen, która ku mojemu zaskoczeniu nie starała się zachęcić mnie do wzięcia ciężarnej dalmatynki. „Nie najlepszy pomysł, mamó”, powiedziała. Następnego popołudnia zatelefonowałam do sklepu i usłyszałam, że Elvina znalazła dom.

Alleluja.

A potem zadzwoniła moja przyjaciółka Susan.

- Powinnaś zobaczyć tego psa - rzekła. - Podobno jest cudowny. Chyba jakiś beagle.

Wobec tego porozumiałam się z Jodi Judson i umówiłam na wizytę. *You ain't nuthin but a hound dog*, niemal zaśpiewałam na widok tego stworzenia.

Carolina, przydomek Gnat, wyglądała idiotycznie, była nieproporcjonalnie wysoka i chuda, a do tego robiła smętne miny, co przydawało jej jakiejś absurdalnej godności. Wystarczyło, że raz przebiegła susami wokół ogrodu, a już się w niej zakochałam. Gdy Jodi ją

znalazła, mieszkała na parkingu przy szosie I - 95 gdzieś w Karolinie Południowej. Była tak wychudzona, że kości wystawały jej pod skórą. Jodi twierdzi, że tamtego wieczora Carolina ledwie trzymała się na nogach, bliska śmierci. Dała psu całe jedzenie, jakie było w samochodzie. Wracala wtedy z wakacji razem z mężem. Ponieważ jej mąż nie chciał zabrać obcego psa w czternastogodzinna podróż samochodem („Nawet o tym nie myśl”, powiedział), pojechali dalej. Jodi twierdzi, że nie powiedziała marnego słowa, ale gdy przekroczyli granicę stanu, jej mąż mruknął: „No dobrze” i zawrócił.

Ostatnimi czasy rozmawiam tylko o psach. Był taki okres, gdy mówiłam o psach i swoim kiepskim zdrowiu, ale teraz czuję się lepiej, więc znowu gadam wyłącznie o psach. Gdy odbieram telefon i słyszę pytanie: „Co nowego?”, zaczynam się denerwować, wobec tego z zapalem opowiadam, w jakiej konfiguracji spaliśmy ostatniej nocy - czy w czwórke w jednym łóżku, czy też Rosie znowu położyła się w pokoju gościnnym. Czasem wyczuwam nieznaczne zawieszenie głosu, zanim mój rozmówca zmieni temat i przypomni sobie, że ma coś do załatwienia. Prawda jest taka, że moje psy zawsze mnie rozśmieszają, dodają otuchy i nigdy nie nudzą. Gdy Rosie opiera głowę na moim ramieniu, Harry przywiera do lewego boku, a Carolina leży zwinięta jak paczka z chińskiej pralni, przepelnia mnie szczęście. Jesteśmy oazą spokoju na podwójnym łóżku. Tak pewnie było, zanim Adam zjadł jabłko, gdy wszystko miało nazwę, ale nie prowadzono tylu debat. Kiedyś zapytałam swoją najstarszą córkę Sarah, matkę piątki dzieci, co takiego mają w sobie psy, że obdarzanie ich miłością nie sprawia żadnego trudu. „Nie odzywają się”, odparła.

Ale się komunikują. Kiedy przybyła Carolina, należało ustalić

hierarchię w stadzie. Przez pierwszy tydzień niemal ciągle trwały psie pyskówki, aż pewnego popołudnia doszło do starcia między Rosie a Caroliną, w wyniku którego Carolina miała przegryzione na wylot ucho. Gdy opatrywałam krwawiącą ranę, uświadomiłam sobie, że - chcąc nie chcąc - uczestniczę w naturalnym procesie o gwałtownym przebiegu. Jestem pełnoprawnym członkiem stada, co więcej, jestem psem alfa. Ponieważ jestem psem alfa, kwestia, kto, gdzie, kiedy i jak blisko będzie siedział koło mnie, wymaga rozstrzygnięcia. Tego popołudnia Rosie odniosła triumf nad Caroliną, choć była mniejsza.

Sprawy ludzkie są dużo bardziej skomplikowane. „Wyczuwam dziwny ton w twoim głosie. Jesteś na mnie zły?”, z niepokojem pyta młoda kobieta, przyciskając telefon komórkowy do ucha, a ja zastanawiam się, jak to możliwe, że ludzie w ogóle zadają się ze sobą. Psy nigdy nie wpadają w zły humor, ponieważ powiedziałaś coś przy śniadaniu. Nie obwąchują strzępów starych rozmów ani nie analizują nieudanych weekendów. Życie niepoddane analizie jest być może nic niewarte, ale życie ciągle analizowane jest z pewnością piekłem. My za dużo mówimy.

Goszczę swojego przyjaciela, który właśnie śpi na kanapie. Carolina, od początku nieufna względem niego, wpada w dygot, gdy książka spada mu z piersi na podłogę, a on gwałtownie budzi się ze snu. „To przeze mnie?”, pyta. Kiwam głową. Carolina nie przestaje się trząść. Harry uwielbia mojego przyjaciela, a Rosie obskakuje go, by dać mu buzi, więc to pewne, że on nie wydziela żadnych złych fluidów. Chciałabym, żeby sprawił sobie psa. Od jakiegoś czasu nie ma żony i chyba wie dzie samotne życie. Jest najzabawniejszy, najmądrzejszy i najstarszy spośród moich kolegów.

- Myślałeś kiedyś o samobójstwie? - zapytałam go przed laty, gdy oboje byliśmy na tyle młodzi, by rozmawiać o życiu i śmierci. Ta rozmowa odbyła się chyba w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku.

- Oczywiście - odparł między jednym a drugim kęsem kanapki z indykiem na ciepło.

- Jak chciałeś tego dokonać?

- Zawsze pociągało mnie odcięcie sobie głowy - odrzekł.

Popijając kawę, parsknęłam śmiechem i kawa trysnęła mi nosem.

- To mogło być trudne - zauważyłam, odzyskawszy głos.

- W tym cała rzecz - powiedział. - Nikt by nie chciał iść na łatwiznę.

Wtedy nabrałam pewności, że będę go kochać po wsze czasy.

Przyjechał wczoraj wieczorem, późno wyruszywszy z domu. Zdaje się, że mało brakowało, a w ogóle by nie przyjechał. Twierdzi, że odwiedzanie znajomych sprawia mu trudność. Jak zauważyłam, najlepiej czuje się wtedy, gdy dostatecznie długo korzystając z gościny - noc, ranek i znaczną część popołudnia - staje się gościem w pełnym tego słowa znaczeniu. Wie, że teraz może wyjechać w każdej chwili, nie zachowując się niegrzecznie wobec gospodarza, więc jest rozluźniony, opieszawy, gotów prowadzić mniej zasadnicze rozmowy. Przypomina mi człowieka, który po niebezpiecznej wspinaczce staje nad urwiskiem. Nie pozostanie tam, ale może się rozejrzeć.

- Moim zdaniem powinieneś kupić dom w tej okolicy - mówię.

Siedzimy w ogrodzie na tyłach mojego domu.

- Byłoby miło - powiada.

- Mógłbyś wpadać na kawę o każdej porze.

- I chodzić do pracy trzy dni w tygodniu - dodaje, jakby rzeczywiście rozważał możliwość przeprowadzki.

To udawanie jest oznaką kurtuazji, a ja doceniam dobre maniery.

- Mógłbyś mieć psa - ciągnę.

Jest piękny wieczór. Mój przyjaciel szykuje się do wyjazdu.

- Owszem - przytakuje.

Podczas pożegnania psy kłębią się przy jego nogach jak wzburzone fale. Macham do niego ręką, nie namawiam go, żeby został. Potem zamykam drzwi. „A teraz lulu”, oznajmiam, po czym wraz ze swoim stadem rzucam się na kanapę, gdzie ucinamy sobie dłuższą drzemkę, leżąc jedno na drugim niczym gromada szczeniaków.

JAK ODPEŁDZIĆ MELANCHOLIE

Będą ci POTRZEBNE TRZY PSY, Z KTÓRYCH JEDEN - SUKA - zwęszył interesującą woń wlatującą przez okno na pierwszym piętrze. To stworzenie jest psem myśliwskim. One wszystkie są psami myśliwskimi i we czwórkę śpicie razem na podwójnym łóżku. Gdy otwierasz oczy (czując na twarzy jej ciepły psi oddech), ona patrzy na ciebie z takim przejęciem, że wybuchasz śmiechem. Narzucasz wczorajsze ubranie (które leży tuż obok na podłodze) i schodzisz na dół, nie nadeptując na Rosie, Harry'ego ani Carolinę, kręcących się pod nogami. Gdy otwierasz drzwi kuchenne, psy wypadają do ogrodu i natychmiast biegną z nosami przy ziemi za tropem jakiegoś małego zwierzaka, którego zygzakowaty ślad przypomina elektrokardiogram. Idziesz za nimi po mokrej, zielonej trawie. I oto jesteś na świeżym powietrzu o godzinie piątej rano.

Przez ostatni miesiąc siedziałaś w domu, gdy padał deszcz. Może lubisz obserwować, jak pada deszcz, lecz postępujesz tak chyba zbyt długo. Nie odpowiadasz na telefony. Nie przeglądasz doręczonych listów. Zauważyłaś, że gdy dwa psy chodziły za tobą z pokoju do pokoju, byłaś poirytowana, a teraz, gdy chodzą za tobą trzy, jest jeszcze gorzej. Ilekroć wstajesz, one też się podnoszą. Nie fatygujcie się, nie warto, masz chęć im powiedzieć, gdy wstałaś z wyściełanego czerwonym materiałem krzesła, żeby zrobić coś w kuchni, jednak zanim tam się znalazłaś, zapomniałaś, po co szłaś. Spoglądasz przez okno, a psy sadowią się tymczasem na dywaniku przy piecu. Mają takie łagodne usposobienia. Po kilku minutach przenosisz się do salonu i psy znowu ciągną się za tobą. Jeżeli ta sytuacja powtarza się dostatecznie często, uzmysławiasz sobie bezcelowość swoich codziennych działań. Stąd prosta droga, byś uświadomiła sobie bezsens

własnego życia - no i dlatego czujesz się wybornie, będąc na dworze, w ubraniu, o piątej tego ranka.

Następnie będzie ci potrzebna grządka z pokrzywami wysokimi na półtora metra. Może właśnie tak prezentuje się twój ogród, zaniedbywany przez dwa lata, od przeprowadzki z miasta. Wmówiłaś sobie, że jeżeli nic nie posadzisz, nie znienawidzisz saren, które na pewno przyjdą obgryzać rośliny. Rzecz jednak w tym, że jesteś patentowanym leniem; zamiast grabić ziemię i kopać dołki, wolisz siedzieć na werandzie i popijać kawę. Ale pokrzywy zagłuszyły trzy krzaki różowych peonii, które, mogłabyś przysiąc, stały w kwiatkach przed dwoma laty, raptem więc czujesz obcy ci przyływ energii. Wpadasz do domu i... och, wspaniale, tu są, rękawice ogrodowe, prezent z okazji oblewania domu przed dwoma laty, wciąż spięte zszywką. Rozdzielasz je, nakładasz i lecisz z powrotem do ogrodu.

Pierwsza pokrzywa stawia dokładnie tyle oporu, ile trzeba - czyli zero - wyrywasz ją z korzeniami i radośnie odrzucasz za siebie. Wyrywasz następną i następną, wkrótce ogarnia cię szal, ciągniesz po trzy pokrzywy na raz, nie zważając na oparzenia na rękach i kostkach, stos chwastów wznosi się na trawniku za twoimi plecami. Czasem natrafiasz na jakiś zatwardziały okaz i ciągniesz z całej siły, a gdy widzisz główny korzeń tuż pod powierzchnią, szarpiesz, wyrywasz, ziemia leci na ciebie, czujesz się jak „stara kobieta i pokrzywa”, ten, kto odbiera i daje życie, i wtedy rozumiesz zażartość ogrodnika.

Po pięciu czy sześciu minutach ogarnia cię zmęczenie i robisz krok w tył. Spłachetek ziemi się przerzedził. Może teraz zaparzysz sobie kawę i wyjdiesz z filiżanką na dwór. Jeśli wszystko będzie szło dobrze, do południa wyłoni się doskonały krzak różowych peonii. Pojawią się

również irysy, żółte i smukłe, oraz fioletowe o głębokich gardłach, niestety przypominające mosznę starca, lecz i te oczyścisz z chwastów. Nim nadejdzie wczesne popołudnie, słońce być może przebije się przez gęstą o poranku mgłę i jeżeli niespodziewanie zacznie razić cię w oczy, nie trap się. I tak czas na drzemkę. Po wejściu do domu może zauważysz, że to, co dotychczas wydawało ci się kurzem, jest warstwą złocistego pyłku, który wlatuje przez otwarte okno. Gdyby życie było takie częściej, pomyślisz, pakując się z psami do łóżka, a wtedy uprzytomnisz sobie ze zdumieniem, że życie jest właśnie takie.

CAROLINA MA RUJĘ, A JA NIE

Moja suczka Carolina siedzi w samochodzie, a ja stoję między półkami w aptece, do której nie zachodziłam od piętnastu lat. Carolina ma ruję. Ruja - jakież to staroświeckie pojęcie! Szukam czegoś, co wsuwa się w siatkową kieszonkę czerwonego wdzianka podobnego do spodenek Speedo, zakupionego przed chwilą dla suczki. Kto by przypuszczał, że produkuje się coś takiego dla psów! Przychodzą mi na pamięć cienkie pasy, które ja i inne dziewczynki dostałyśmy razem z pierwszym opakowaniem podpasek i załączoną do niego broszurką o fazach cyklu płciowego u kobiet. Lata świetlne temu. Biorę z półki przedmiot w różowym opakowaniu z etykietką S i kuśtykam do alejki 4b ze środkami przeciwbólowymi, gdzie czuję się bardziej swojsko. Boli mnie krzyż. Łapię aspirynę, płacę za wszystko i kieruję się w stronę samochodu. Carolina rozpląszczyła nos na szybie. „Dobry piesek”, mówię. „Dobry piesek”. Udaje mi się wsiąść do auta, nie wydawszy okrzyku bólu, klepię Carolinę po wielkim łbie i przytulam się do jej szyi, a ona wali ogonem o siedzenie pasażera. Carolina właśnie kuruje się z dirofilariozy i w tym momencie ciecзка jest rażącą niesprawiedliwością. „Chryste Panie, kolejne tortury”, jak powiedział męczennik, gdy kat zaczął wyrywać mu trzewia. (Nie pamiętam, jak się nazywał ów święty, ale moja mama uwielbiała go cytować). Zanim przekręcę kluczyk w stacyjce, ustawiam strzałki na butelce i na nakrętce jedna pod drugą, zdejmuję nakrętkę, przedziurawiam piórem foliowe zabezpieczenie i połykam trzy tabletki.

Z suczką, która ma ruję, stykam się pierwszy raz, natomiast ból kręgosłupa złapał mnie trzydzieści lat temu, gdy pochyliłam się, żeby podnieść z podłogi kawałek puszkowanej brzoskwini, i nie mogłam się

wyprostować.

Mój drugi mąż znał to uczucie.

- O rety, co to takiego? - krzyknęłam, gdy starał się mi pomóc.

- Piekielny ból w krzyżu. Tak to się nazywa - odparł.

Ta odmiana piekielnego bólu w krzyżu jest skutkiem noszenia nowych, szykownych, czerwonych pantofelków - prawy but mnie ciśnie i chodzę koślawo. Nie wiem, dlaczego wkładam te pantofle. Być może dlatego, że uwydatniają moje zgrabne kostki. W wieku sześćdziesięciu trzech lat mogę szcycić się swoimi kostkami jak niczym innym prócz pieczenia ciast.

Po przyjeździe do domu stwierdzam, że włożenie psu zakupionego wdzianka graniczy z niemożliwością. Ma ono otwór na ogon i rzepy zapinane wokół zadu, ale jak tu wepchnąć długi ogon przez rozcięcie w małym, śliskim stroiku, gdy pies ciągle kręci się w kółko? Mija piętnaście minut i gdy moje wysiłki kończą się sukcesem, Carolina spogląda na mnie z takim przygnębieniem, że mam ochotę ją przeprosić. Wygląda jak pies przebrany za małpę.

Następnego ranka ledwie chodzę. Moja przyjaciółka Claudette spieszy z pomocą. Bierze Carolinę na smycz, w razie gdyby pojawiło się w ogrodzie stado psów, którym hormony uderzyły do głowy. Potem zawozi mnie do swojego akupunkturzysty. Jeszcze nigdy nie byłam u akupunkturzysty, ale jestem gotowa szukać u niego ratunku. Zabieg jest szalenie interesujący - wszystkie te igły łaskoczą mnie w nogi i ręce - i tak odprężający, że pewnie bym przysnęła, gdyby nie wbito mi igły pod samym nosem. Ani na chwilę nie mogę przestać o niej myśleć. Po zabiegu czuję się lepiej, dopóki nie trafiam do działu nabiałowego w Hurley Ridge

Market i nie sięgam po dwulitrowy karton z mlekiem. Gdy jedziemy z powrotem przez miasto, mijamy na wpół ubraną młodzież z Woodstock, która wyleguje się na błoniach. Stanowi piękny widok, lecz zważywszy na ból w krzyżu i dobrą pamięć, cieszę się, że nie jestem jedną z tych młodych osób. Zbyt wiele mają przed sobą.

Tymczasem mój otyły beagle Harry zdobył się na to, by wyskoczyć prosto w górę niczym Rudolf Nuriejew. Nie wiedząc, czy Carolina go dostrzegła - a nie dostrzegła - wykonuje ten skok ponownie. Jest już niezdolny do reprodukcji, ale to nie studzi jego zapału. Rosie również jest po wpływie unoszących się w powietrzu hormonów. Energicznie robi toaletę Harry'emu i Carolinie, zaglądając we wszystkie zakamarki. Byłaby wspaniałą matką. Co jakiś czas Carolina podnieca się do tego stopnia, że zaczyna wyć. Napaleni są tu wszyscy prócz mnie. Ledwie zacznę się zastanawiać, gdzie się podziali zalotnicy, a na podjeździe zjawia się duży biały pies. Oho, pierwszy adorator Caroliny! Harry i Rosie zajmują pozycje na werandzie od tyłu i szczekają bez opamiętania, a ja dzwonię do swojej siostry Judy, żeby z dumą powiedzieć jej, iż wokół domu pałęta się niewykastrowany husky, który prawdopodobnie nie skończył podstawówki. „Teraz rozumiesz, co czuli mama i tata”, mówi Judy. Wychodzę na dwór, w jednej ręce trzymając smycz z Caroliną, a w drugiej mopa. Mop spełnia dwojaką funkcję: laski i odstraszacza. Grożę nim szubrawcowi, gdy podchodzi za blisko. Obrzuca wzrokiem Carolinę, a ona odpowiada na jego spojrzenia. O tak, pamiętam te zerknięcia. Gdyby to zwierzę było człowiekiem, miałoby na sobie džinsy i biały T - shirt. Zapalałoby papierosa. Co tam obolały kręgosłup i zaawansowany wiek. Gdyby to zwierzę było człowiekiem, a ja byłabym na miejscu Caroliny,

nie oszukujmy się, natychmiast rzuciłabym się na niego.

NA RAZIE

W październiku zeszłego roku, gdy zepsuł mi się piec i robiło się coraz zimniej, gdy budziłam się w temperaturze siedmiu czy sześciu stopni w sypialni, gdy razem z psami leżałam w pościeli tak długo, że mało brakowało, a pękłyby nam pęcherze, wtedy przysięgłam sobie, że na zawsze zapamiętam, iż życie w cieple wcale nie jest faktem oczywistym. Ale nie zapamiętałam. Teraz przyszło lato i nastąpiła awaria elektryczności. Moje czerwone pokrowce na meble moczą się w znieruchomiałej pralce, a meble stoją gołe. Nie mogę włączyć odkurzacza ani zjeść grzanki. Dziergałam na drutach, grało radio, wentylator chłodził mi twarz, a chwilę później wszystko ucichło i zamarło. Nawet nie zdążyłam przysiąc sobie, że to zapamiętam. Ale przecież nie my dokonujemy wyboru, które urządzenie przestanie funkcjonować. Ileż to razy wodziłam palcami po sztachetach płotu i myślałam: Co za chwila! Zapamiętam ją na zawsze! W końcu pozostaje tylko wspomnienie pragnienia, by zachować coś w pamięci. Mój wuj opowiadał mi kiedyś, że brazylijskie ważki wracają do jeziora, gdzie się urodziły - przed śmiercią chcą ponownie osiąść w tym miejscu. Podjęłam zobowiązanie, że zapamiętam to w jego imieniu.

Nie podoba mi się, gdy ktoś pamięta coś, co kocham, lepiej ode mnie. O pewnych miejscach napomykam rzadko, ponieważ nie chcę usłyszeć, że komuś zapadły w pamięć bardziej niż mnie - na przykład o Sneden's Landing, gdzie mieszkaliśmy przez rok w latach pięćdziesiątych. Moja siostra Judy miała liczniejsze grono przyjaciół, a teraz ma lepszą pamięć, więc gdy włącza swoje reflektory, jestem zdemaskowana,

ogółoconą ze szczegółów, niegodną tego, że w ogóle tam mieszkałam. Ale pamiętam potoki, które prowadziły nas w dół do rzeki, i pamiętam miejsce, gdzie szukaliśmy rośliny o srebrnych liściach i grubych, soczystych łodygach, która leczyła wysypkę po dotknięciu sumaka jadowitego. Jak się nazywa, czy ją znaleźliśmy i kto miał wysypkę - nie pamiętam. Natomiast zachowałam w pamięci piękny, ciemny wodospad i głębokie jezioro, do którego wpadał, oraz otaczające je kolumny i altanę z winorośli. Gdy wsadziłaś nogę do lodowatej wody, drętwiała ci po kolano. Pamiętam rzekę Hudson podczas odpływu i jak szukaliśmy skarbów w smrodliwym mule, a pewnego razu znaleźliśmy wygładzony kawałek rzeźbionego nefrytu i mnóstwo potłuczonej porcelany. Pamiętam, jak leżeliśmy na pomoście na końcu trawnika przed czyimś domem, słuchając plusku wody, i uprzytomniliśmy sobie, że warkot samolotu stał się dźwiękiem równie naturalnym jak szum deszczu czy cykanie świerszcza.

Pamiętam, jak przez miesiąc, a może dwa, mama z uporem urządzała herbatki po naszym powrocie ze szkoły. Pamiętam jej pytanie: „Z mlekiem czy bez?”. W moich wspomnieniach cała ta sytuacja ma w sobie coś ironicznego, jak gdyby nasza mama świadomie odgrywała komedię, a zarazem w pewnej mierze zachowywała autentyczną powagę. Robiła to wszystko z wielką pieczołowitością - miała tacę, jeden imbryk z herbatą i drugi z gorącą wodą, cukier w kostkach, a nie sypki (Jedna kostka czy dwie?”. „Poproszę pięć”). Nie przypominam sobie filiżanek i spodeczków, za to jestem prawie pewna, że nie serwowała prawdziwych ciasteczek (czy w ogóle podawała ciasteczka?), lecz nijakie herbatniki Petit Beurre, jej ulubione. Aż pewnego dnia te podwieczorki się skończyły, jak gdyby nigdy ich nie celebrowano.

Pamiętam, jak mama odmieniała czasownik „kochać” po łacinie („amo”, „amas”, „amat”), do melodii popularnej piosenki, której tytuł wyleciał mi z głowy, a my, dzieci, zsuwałyśmy się z siedzeń samochodu, gdy wykrzykiwała słowa przy otwartych oknach, jadąc na pocztę w Palisades. Stara glicynia, która rosła pod moim oknem, zawsze będzie mi się kojarzyć z wonią upalnego lata i nasuwać wspomnienia o Tonym Wallasie, który pokazał mi (bardzo delikatnie), co to jest francuski pocałunek. Byliśmy na wzgórzu, skąd rozciągał się widok na rzekę Hudson. Gdy moja siostra mówi, że uwielbia glicynię, że to jej ulubiona roślina, coś chce we mnie krzyknąć: Ona rosła pod MOIM oknem. Wiem jednak, że nic z tego wszystkiego nie jest moją własnością.

Mój Boże, jaki to był przystojny chłopak z tego Tony'ego! Nie musiał wracać do domu o określonej porze, jeździł nashem ramblerem, którego słyszałam z odległości sześćdziesięciu kilometrów. Umówił się ze mną, ale byłam wtedy spłoszoną, nieśmiałą piętnastolatką i na parę minut przed jego przyjściem ubłagałam mamę, by powiedziała mu, że źle się czuję. Ostatecznie poszłam do niego innego wieczora na kolację. Pamiętam tylko tyle, że poczęstowano mnie filiżanką ovaltine, ale jej nie wypiałam, bo bałam się, że haitańska kucharka wymówiła nad nią jakieś zaklęcia wudu. Mam fotografię przedstawiającą mnie z Tonym, wydrukowaną na pudełku zapalek z Copacabany, dokąd pewnego wieczora udaliśmy się wraz z jego rodzicami. On miał wówczas siedemnaście lat, a ja szesnaście. Moja siostra przechowywała dla mnie to pudełko przez czterdzieści lat, a potem mi je wręczyła. Moja najstarsza córka oprawiła je w srebrną ramkę i podarowała mi w prezencie gwiazdkowym. Na tym zdjęciu widać ciemne cienie pod jego oczami. Moje oczy są czarne -

żrenice rozszerzyły mi się przy błysku flesza.

„Jak się miewa Rich?”, pytają ludzie. „Pamięta cię?”. Tak, rozpoznaje mnie i swoją córkę Sally. Rozpoznaje również wnuczkę Norę. We czwórkę spotykamy się w czwartkowe popołudnia. Sally przyjeżdża z dzieckiem z Albany, a ja zabieram Richa z domu opieki i przywożę do siebie do Woodstock. Ostatnio mam wrażenie, że poznaje widoki przy szosie numer 28. Czy rzeczywiście? Być może tylko odzywa się jego poczucie humoru, bo chichocze za każdym razem, gdy mijamy szyld firmy zwalczającej szkodniki. Czasami rzuca: „Otóż to”, gdy na zakręcie pojawia się z lewej strony kościół. „Cześć, kajtku”, powiada do Harry'ego, naszego starego psa.

Nie wiem, co się stało ze wspomnieniami Richa. Chętnie mówił o chłodnym brzozowym lesie w Finlandii, gdzie kiedyś biegał w zawodach; wyczarowywał to miejsce, ilekroć był w opałach. Teraz ledwie słyszy i dłuższa rozmowa z nim jest prawie niemożliwa. „Pamiętasz ten las w Finlandii?”, wykrzykuję do niego i patrzę, jak najpierw stara się mnie usłyszeć, a potem zrozumieć, co powiedziałam. Czasem ogarnia mnie bezmierny smutek. Do tego ciągle coś się dzieje. „Chciałbyś skorzystać z łazienki?”, zaproponowała mu Sally w zeszłym tygodniu. „A po co?”, odparł. „Koniecznie jest ci potrzebny świeży mocz?”. Parsknęliśmy śmiechem i dla pamięci zapisałam sobie tę wymianę zdań.

Po lunchu Rich zawsze zajmuje swoje zwyczajowe miejsce przy zlewie i bierze się do zmywania naczyń. Ani na jotę nie zapomniał myć talerzy, z wolna wykonywać kolistych ruchów zmywakiem czy też ostrożnie opłukiwać kieliszków lub czyścić powierzchni między zębami widelców. Gdy Sally wyjeżdża z dzieckiem do domu, stoimy z Richem na

werandzie, trzymamy się za ręce i machamy jej na pożegnanie. Potem on włoży okulary i weźmie gazetę. Psy usadowią się u naszych stóp. Popołudnie przejdzie w wieczór i przed zmrokiem zawiozę go tam, gdzie obecnie mieszka, ale to stanie się za jakiś czas. Na razie on będzie przeglądał gazetę, ja zaś będę patrzyła na niego, myśląc, że to, co było i minęło, rozplywa się w tu i teraz.

**Część
czwarta**

NAPEŁNIANIE PUSTEGO

Gdy kupiłam ten dom, była tam stara lodówka, a w niej pół butelki keczupu, musztarda w plastikowym pojemniku ze stadionu baseballowego i napoczęty słoik z piklami. Wiem, jak ciężko jest wyrzucać rzeczy, jeszcze ciężiej jest pakować je podczas przeprowadzki, ale widok cudzych przypraw robi przygnębiające wrażenie. Na domiar złego z zamrażalnika wionęło jakąś nieokreśloną wonią, po wyjęciu pojemnika na warzywa spadała półka, a obudowa była pokryta pomarszczonym, skóropodobnym materiałem, którego nie sposób umyć. (Ktokolwiek wynalazł to tworzywo, na pewno ani razu w życiu nie wziął się do sprzątania). Ogólnie rzecz biorąc, nigdy nie polubiłam tego urządzenia i uważałam, że z jego powodu zaopatruję się w żywność wyłącznie na Święto Dziękczynienia. I tak dwa lata później, uzbrojona w dane z rankingu „Consumer Reports”, pomaszerowałam do Searsa i po trzech dniach miałam w kuchni nowiutką, czyściutką lodówkę.

To nowe cudo aż lśni. Egzemplarz w obudowie ze stali nierdzewnej kosztował więcej i był wyposażony w butelkę specjalnego środka do czyszczenia oraz instrukcję w trzech językach. Ma szuflady na warzywa, z regulacją stopnia wilgotności. Na drzwiach mieszczą się obok siebie dwa dwulitrowe kartony z mlekiem; zamrażalnik jest duży i pachnie wyłącznie zimnem. Nawet przeznaczono osobną półkę na jajka. Pierwszego tygodnia kupiłam jogurt, serek wiejski, jabłka, kurczaka, sałatę i śmietanę. Byłam zaopatrzona w mleko, sok pomarańczowy i gazowaną wodę mineralną oraz w piwo, gdy odwiedzi mnie córka ze swoimi przyjaciółmi. Ponadto wlałam wodę do pojemnika na kostki lodu. Zaprosiłam przyjaciół na kolację i przyrządziłam słynne ziemniaki swojej mamy: ser gruyère,

śmietana kremówka, pokruszone suszone papryczki chilli, sól, pieprz, gałka muszkatołowa. Aha, no i ziemniaki. Zrobiłam sos karmelowy na ciepło do lodów waniliowych, których miałam w zapasie ze dwa litry. Potem minął tydzień, dwa tygodnie, a teraz lodówka znowu jest pusta. Nie uświadczysz tam produktów na kanapkę z szynką i serem ani nawet masła orzechowego czy dżemu. Ilość warzyw jest znikoma, choć leżąca od paru tygodni w szufladzie sałata lodowa zachowuje nienaturalną świeżość. Staram się sporządzać listy produktów spożywczych do kupienia, ale marnie mi to idzie. Natomiast zawsze mam kawę i karmę dla psów (uwielbiam kupować karmę dla psów) oraz ze dwie kostki masła w zamrażalniku. Tylko nie mogę już zwać winy za swoje fatalne zwyczaje zakupowe na lodówkę - ta nowa aż się prosi, żeby ją napęlić.

Może dzieje się tak dlatego, że jestem WASP - em*. To przywodzi mi na myśl książkę kucharską, którą zaczęłam pisać przed laty. Miała ujmować zagadnienie w sposób właściwy WASP - om i nosić tytuł *Kuchnia gojska*. W niedokończonym wstępie zauważyłam, że WASP - y nie są kiepskimi kucharzami - mamy mnóstwo wspaniałych przepisów (wystarczy wspomnieć o *popovers*, *standing rib roast* czy *fudge***). Szkopuł w tym, że nie robimy zakupów. Porzuciłam to przedsięwzięcie i nigdy nie dotarłam do sedna naszej ułomności. (Przyjaciółka dostarczyła mi przepis na krem budyniowy autorstwa Marianne Moore. Wyraziłam wdzięczność i powiedziałam, że już mam taki przepis. „Ale ten jest w sam raz dla WASP - ów”, ciągnęła przyjaciółka. „To przepis dla jednej osoby”). Z drugiej strony, gdy miałam małe dzieci, moja lodówka wcale nie świeciła pustkami. Pamiętam, ile w niej było jogurtu, serka śmietankowego, dżemu, masła orzechowego, sera topionego, cheddara,

requeforta, resztek szarlotki (jeśli coś zostało), resztek mostku wołowego, jabłek, soku pomarańczowego, masła i mleka. Nie wspominając o sałacie, pomidorach, cebuli i ziemniakach. Przez pewien okres zawsze miałam w zamrażalniku butelkę wódki z trawką i podczas kilku ciężkich lat pociągałam tego przesłodzonego specyfiku od rana do wieczora.

Teoria na temat WASP - ów trzyma się jednak mocno. Utwierdzam się w tym przekonaniu, gdy przypomnę sobie, jak zabrałam swojego starego przyjaciela Jerry'ego do mamy, która mieszkała w East Hampton. Usłyszałam dobiegający z kuchni krzyk i poszłam zobaczyć, co się stało. Jerry stał przed otwartą lodówką i wskazywał palcem jej zawartość: butelkę szampana i słoik dżemu pomarańczowego, jedno i drugie na dekoracyjnie powycinanej serwetce z papieru. Pamiętam również szaleńcze krzyki mamy, gdy któreś z dzieci kierowało się do kuchni. „Niczego tam nie jedz!”. Kiedy przybyło jej lat i stała się wspaniałą babcią, podtykała nam wszystkim zapiekany brie, pasztety i ciasteczka. Łamała tabliczkę czekolady na duże kawałki i ciągle nas częstowała. W dawnych czasach kupowała zapewne tylko tyle jedzenia, żeby starczyło na kolację. Być może ciągle jedliśmy składniki wieczornego posiłku. Mama umiała gotować, ale czasem podawała twarde mięso. W takich sytuacjach, gdy dzielnie przeżuwaliliśmy plastry wołowiny, obrzucała nas piorunującym spojrzeniem i mówiła wyzywająco: „Dobre, twarde mięso”.

W tym samym czasie kiedy w domu pojawiła się nowa lodówka, złożyłam stół w jadalni i ustawiłam pod ścianami regały na książki. Moje życie nie toczy się przy stole jadalnym, by tak rzec - gdy mam towarzystwo, zazwyczaj jemy na kolanach w kuchni - wchodziłam do

jadalni, gdy musiałam dostać się do innego pomieszczenia. W gruncie rzeczy była bezużyteczna - korzystałam z niej tylko podczas Święta Dziękczynienia. Teraz zbliża się jesień, moja ulubiona pora roku, a ja mam same puste regały wokół siebie i kartony z książkami w Nowym Jorku, które czekają, by je tu przywieźć. Siedzę w nowym pokoju, sprawdzając, jak się w nim mieszczę, i stwierdzam, że ten dom już mi nie odpowiada rozmiarem. Może dlatego, że widzę stąd pustą kuchnię, a gdy odwrócę głowę - także pusty salon. Po obu stronach są niezamieszkane pomieszczenia, panuje w nich cisza i nastrój wyczekiwania - czekają tylko na mnie, a ja nie mogę przecież siedzieć we wszystkich pomieszczeniach jednocześnie.

Przychodzi mi na myśl, że spożywanie posiłku jest wydarzeniem towarzyskim. Mieszkam samotnie, więc nie chce mi się robić zakupów ani gotować. I psy, i mnie zadowala to, że jem na stojąco namiastkę kolacji - częstokroć grzanek z masłem - i rzucam im kawałeczki prosto do pysków. Ale w czwartki, gdy przyjeżdżają Rich oraz Sally z Norą, jemy razem lunch. Na skutek wypadku Rich stracił powonienie i zarazem w dużym stopniu poczucie smaku. Biorąc pod uwagę wszystko inne, co tak tragicznie stracił, pozbawienie go tych zmysłów wydaje się bezsensowne, wprost podłe. Mieliśmy ulubione potrawy - małe flądry, smażone na maśle i oleju, podawane z młodymi ziemniakami i groszkiem, oraz domowej roboty frytki, które często jedliśmy w deszczowe popołudnia. Całą zeszłą zimę piekłam w czwartki kurczaka lub smażyłam omlety; lato było jednak upalne i teraz zwykle serwuję potrawy na wynos z delikatesów. Rich nadal lubi jeść, ale nie mam pojęcia, jakie czuje smaki.

W ostatni czwartek zachowywał się niespokojnie. Nowy lekarz

odstawił mu dwa lekarstwa - dlaczego bawią się w eksperymentowanie, gdy coś jest skuteczne? - i w rezultacie, kiedy przyjechałam go zabrać, był wzburzony i przygnębiony, mówił, że nie może ze mną jechać, ma inne plany, musi zająć się różnymi rzeczami. Być może wydawało mu się, że wrócił do pracy. Przez kilka lat po wypadku wpadał w rozpacz na myśl, że ma napisać reportaż, lecz nie pamięta o czym. „Wszystko zrobimy w Woodstock”, powiedziałam, lecz nie, nie, on musiał zostać, gdyby teraz wyjechał, sprawy leżałyby niezalutowane, a nie powinno się ich dłużej odkładać. Siedział na krześle w swoim pokoiku; na łóżku leżało nowe wydanie *American Heritage Dictionary*, prezent ode mnie. „Chodźmy”, namawiałam go. „Czeka na nas Sally razem z małą”. Bez skutku. Wstał i pomacał w kieszeniach. „Szukam czegoś, ale nie wiem, co to jest. Nie będę wiedział, nawet gdy to znajdę”, rzekł.

Jak zdołałam nakłonić go do wyjazdu? Przymilaniem się i zastraszeniem na przemian. Przyjechalismy do domu, gdzie czekała na nas Sally z Norą, a on - jak zawsze - ucieszył się na ich widok. Zjedliśmy ogromne kanapki, Rich poczęstował się kilkoma ciasteczkami czekoladowymi, swoimi ulubionymi, ale nie chciał kawy - tym lepiej, bo nie miałam mleka.

- Muszę już iść - powiedział, wstając. - Zrobiło się późno.

Wymieniłyśmy z Sally spojrzenia. Minęła zaledwie godzina, przed nami całe przyjemne popołudnie. Nora siedziała w kojcu i jadła płatki zbożowe Cheerios, psy spały w słońcu, natomiast Rich zmierzał do drzwi, gotów nas opuścić. Poważny i stanowczy. Na blacie leżał nowy zeszyt. Kupiłam go ze względu na kolor - wspaniała czerwień - i zielone planety na okładce. Podałam Richowi zeszyt, znalazłam pióro i namówiłam go,

żeby do nas wrócił.

- Przygotuj sobie plan - powiedziałam. - Napisz po kolei, co masz zrobić.

Usiadł z powrotem na krześle, położył zeszyt na kolanie i natychmiast zaczął pisać. Znowu wyglądał jak reporter. Czy myślał o kamerzystach i dźwiękowcach? Czy przygotowywał plan działania? Im dłużej pisał, tym bardziej narastała we mnie ciekawość, aż w końcu stanęłam za nim i zajrzałam mu przez ramię.

„Kukurydza na zupę kukurydzianą. Sałata, ogórek na sałatkę, do tego pomidory i trochę cheddara. Piwo bezalkoholowe i sok pomarańczowy. Także mleko. Także sok jabłkowy. Grubo krojony chleb na kanapki. Tuńczyk, sardynki, cebula, szynka, sardynki. Krakery do sera”.

NIE

1.

OTO JAK UDAJE MI SIĘ NAMÓWIĆ MĘŻA, ŻEBY WSIADŁ do samochodu: kłamię w żywe oczy.

- Wybieram się do sklepu, żeby kupić coś na obiad dla nas. Pojedziesz ze mną?

Jest deszczowe październikowe popołudnie. Wkładam do kominka sztuczną kłodę drewna, zapalam i razem spędzamy rdzeń dnia, jak to on mówił. Przysypiamy i budzimy się w blasku ognia na kominku. Zupełnie jakbyśmy znowu byli małżeństwem. Ale on nie może zostać. Prędzej czy później muszę dźwignąć się z fotela i obudzić Richa. Muszę dotknąć jego ramienia, zagadnąć, pochylając się tuż nad uchem, potrząsnąć. Muszę nakłonić go, żeby wstał z ciepłego fotela i wsiadł do samochodu, muszę go odwieźć. „Wybieram się do sklepu, żeby kupić coś na obiad dla nas. Pojedziesz ze mną?”. Nie cierpię tego, że on kiwa ochoczo głową i wstaje. Że działa to za każdym razem.

Psy dają się zagnać do salonu. Schodzimy wolno po schodkach z tyłu domu; idę z lewej strony, prowadząc Richa pod ramię, on prawą ręką trzyma się balustrady. Niosę pudełko z ciasteczkami, które wręczam mu, gdy wsiądzie do auta i zapnie naciągnięty przeze mnie pas.

- Ciasteczka czekoladowe! Chyba się skuszę - mówi, otworzywszy pudełko.

Jedziemy do Northeast Center for Special Care. Usiłuję stłumić w sobie wszystkie uczucia. Skoro już jesteśmy w drodze, chcę jak najszybciej mieć to za sobą. Chcę dowieźć go bezpiecznie na miejsce, zaprowadzić do pokoju i potem zaraz wyjść.

- Zjrzymy do dwóch marketów? - pyta Rich.

Kiwam głową. Gdy zostawiamy za sobą Black Bear Deli i Hurley Ridge Market, on w ogóle ich nie zauważa. Jedziemy szosą numer 28, mijamy myjnię samochodową K&R, potem różowy parterowy budynek, gdzie mieści się Catskill Mountain Organic Coffee, przedsiębiorstwo posiadające własną palarnię kawy, przejeżdżamy obok siedziby firmy zwalczającej szkodniki (Po co komu myszy w domu?) i skręcamy na szosę numer 209 w kierunku północnym - wstrzymuję oddech, nie wiedząc, czy tym razem Rich połapie się, że go zwodzę. Kątem oka widzę, jak obejmuje dłońmi leżące na kolanach pudełko z ciasteczkami. Usiłuję stłumić w sobie wszystkie uczucia.

- To były urocze trzy dni - mówi, niewątpliwie sądząc, że jesteśmy na wakacjach. - Jakie mamy plany? Szukamy motelu?

Jest szczęśliwy. Pamiętam nasze wakacje. Dobrze nam było ze sobą. Pamiętam wyspę Nevis, gdzie małe ptaki wydziobywały podczas śniadania cukier z cukierniczki. Rich przebiegał długie dystanse plażą, ja czytałam *Howards End* (gdy skończyłam książkę, wybuchnęłam płaczem, nie wiedzieć dlaczego). Jadaliśmy sałatkę z homara do chleba, zakochaliśmy się w pelikanach i rozważaliśmy, jak wyglądałoby życie tam na stałe.

Kiedy dojeżdżamy pod dom opieki, Rich chce zostawić ciasteczka w samochodzie.

- Skąd będą wiedzieć, że są nasze? - pyta. - Wezmą nas za złodziei.

- Powiem im, gdy tylko znajdziemy się w środku.

Zabieram ciasteczka mimo jego protestów i trzymając go pod ramię, lawiruję między autami na parkingu. Uśmiecham się do mężczyzny, który

otwiera rozsuwane szklane drzwi. Elektroniczna bransoletka na rękę Richa uruchamia na chwilę alarm.

- Dobry wieczór, panie Rogin - odzywa się mężczyzna. - Miał pan miły dzień?

Rich niedosłyszy. Idziemy do windy.

- Który guzik mam nacisnąć? - pyta Rich.

- Z jedyneką.

Jak ja mogę z tym żyć?

Część mieszkańców siedzi w dużej jadalni i ogląda film z Goldie Hawn. Prowadzę jednak Richa do jego pokoju, bo uważam, że tam będzie mu przyjemniej. Wąskie łóżko jest starannie pościelone, na kapie leży parę ubrań - bielizna, dwie bluzy. Podsuwam mu krzesło.

- Może byś usiadł na chwilę? - proponuję. - Niedługo wrócę. Mam parę spraw do załatwienia. - Staram się nie dostrzegać zdumienia na jego twarzy. - Niedługo wrócę.

Widzę, że trzeba podlać rośliny. Zrobię to następnym razem.

- Co jest nam potrzebne? - pyta mój mąż.

Na jego twarzy widać przygnębienie. Zdaję sobie sprawę, że ja jestem w jego pokoju w domu opieki, jedną nogą za progiem, a on jest w supermarkecie.

- Mleko.

- Tylko mleko? - dopytuje powątpiewająco.

- Tak, tylko mleko.

- Ile?

- Dwa litry.

Wciskam mu do ręki pudełko z ciasteczkami. Wiem, że lada chwila

zapomni o mojej obecności. Całuję go i odchodzę.

Stałam kiedyś w kolejce po kawę tuż za młodą kobietą, która powiedziała do swojej koleżanki, że nie ma jeszcze kompletu poglądów. Wyobraziłam sobie katalogi, z których można wybierać poglądy i tworzyć komplety w taki sam sposób, jak kompletuje się na przykład meble, wybierać takie, które nie zawałą się pod ciężarem człowieka, będą duże, solidne i stabilne. Co do mnie, wiem już, na co mnie stać, a na co nie stać. Znam swoje ograniczenia. Tylko tym obecnie dysponuję, ale lepsze to niż nic.

2.

Jest deszczowy wieczór tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Wychodzę z West Side Market, niosę śmietanę kremówkę i dwa opakowania truskawek. Od prawie dwóch tygodni ja i moja czternastoletnia córka jemy kruche ciasto z truskawkami. W owocach jest dużo witaminy C, mówię sobie, gdy co wieczór maniakalnie rozwałkowuję ciasto. W każdym razie tego wieczora pojawiła się Crystal, choć wtedy jeszcze jej nie znałam. Dostrzegam wysoką kobietę w wojskowej kurtce, o kilka rozmiarów za dużej. Nic nie mówi - właściwie nie trzeba nic mówić, gdy się stoi z gromadką dzieci na trotuarze, do tego w zaawansowanej ciąży, i trzyma wyciągniętą rękę, wewnętrzną stroną dłoni do góry. Za nią widać małego chłopca, który wtula twarz w jej kurtkę. Przypominają mi się moi wnukowie i nagle uderza mnie myśl: Oto człowiek, którego było mi pisane poznać. Przeszukuję kieszenie i pytam tę kobietę, czy potrzebuje czegoś jeszcze.

- Nie jestem przy pieniądzach, ale mam wiele różnych rzeczy. Co

pani jest potrzebne? - mówię.

Uśmiecha się. Ma piękną, spokojną twarz.

- Dziękuję - szepcze i pokazuje dzieciom dwudziestkę, którą wcisnęłam jej do ręki. Odwraca się do mnie ze słowami: - Talerze. Mamy dach nad głową, ale brak nam talerzy.

Mam talerze, wobec tego wracam do domu i pakuję je do pudełka, dorzucam widelce, noże, łyżki i kilka kubków, a na dokładkę wielki słoik miodu. Zanoszę pudełko do sklepu, pod którym oni nadal stoją. Wciskam kobiecie pieniądze na taksówkę. Cała gromadka ładuje się do samochodu i jedzie ze zdobyczą do domu. W ciągu następnego miesiąca natykam się na Crystal mniej więcej raz w tygodniu, zazwyczaj przed sklepem, i jakoś tak się dzieje, że przypadamy sobie do gustu. Czasem idziemy na kawę do Happy Burger i rozmawiamy o muzyce albo o minionej młodości; porównujemy kobiety, które mają dzieci, z tymi, które są bezdzietne, i zgadzamy się co do tego, że te ostatnie nie mówią naszym językiem. Potem ona rodzi i nasza znajomość się urywa. Kilka miesięcy później Crystal znowu stoi pod West Side Market razem z Jeremiahem i Goldie. Wszyscy idziemy na lunch do Happy Burger. Staram się nie zwracać uwagi na to, że od dzieciaków zalatuje moczem i że jej czteroletni syn jeszcze nie mówi. Siedzimy z Crystal przy stole, trzymamy łokcie na blacie, rozmawiamy o porodach i naśmiewamy się z mężczyzn. Podoba mi się odporność tej kobiety, jej optymizm i poczucie humoru. Twierdzi, że człowiekowi proszącemu o pieniądze najtrudniej jest pokonać własne zażenowanie. Chcę się dowiedzieć, jakie obserwacje poczyniła na temat natury ludzkiej. „Ludzie nie przystają, gdy pada deszcz”, powiada ze śmiechem. Któregoś dnia idziemy razem na *Predatora*, obie uwielbiamy

Arnolda; potem, gdy podrzuciłam ją do domu taksówką, kierowca zapytał mnie: „Ona jest pani gospożą?”. „Nie”, powiedziałam uczciwie. „Moją przyjaciółką”.

Ale to nieprawda. W kontaktach z Crystal nie przekraczam pewnej granicy - pilnuję się, by mówić tylko to, co myślę, bez przesady. Jej życie mnie przeraża. Dzieci są czasem poturbowane, zwłaszcza najstarsza córka, ma złamaną rękę w następstwie jakichś dyscyplinujących działań podjętych w związku z otwartym oknem. „To nie była wina Raya”, mówi Crystal. „Doszło do tego przypadkiem”. Spoglądam na dziewczynę, która siedzi przy stole w milczeniu, ze spuszczoną głową. Crystal ma drugą rodzinę na Florydzie, wspomina o niej tylko raz - tamte dzieci są dorosłe, nie widziała ich od dwunastu lat. W końcu mówi mi, że jej mąż palił crack, ale teraz jest czysty.

Któregoś dnia Crystal wraz z ośmiorgiem dzieci - ma ich ośmioro, ostatnia ciąża była bliźniacza - czeka na mnie, gdy wychodzę z pracy. Dzieci są zmęczone i brudne; Crystal zaś zdenerwowana i spocona. „Kazałam im być cicho i włożyć rano całą zmianę bielizny”, mówi. „Bez namysłu podjęłam decyzję”. Ray znowu pali crack, a ona nie ma zamiaru jeszcze raz przez to wszystko przechodzić. Zabiera dzieci i jutro jedzie do Tuskegee, tam ludzie są podobno dobrzy dla obcych. Przez cały dzień była z dziećmi w parku, z dala od ich dzielnicy. Muszą gdzieś przenocować. Autobus odjeżdża rano. Czy mogłabym ich przyjąć?

Zgadzam się.

Catherine jest niezadowolona, te dzieciaki zjadły kiedyś jej włoskiego lizaka, był wyjątkowy, przez dwa lata zostawiała go sobie na później, w środku miał deseń podobny do kwiatu. Jest przygnębiona, ale

wie, że nie ma wyjścia. „Co ja mogę powiedzieć, mamó? Nie, nie możesz tu zostać z dziećmi, będziesz musiała spać na ławce?”. Przyjeżdżają, zamawiamy pizzę, wszyscy są syci, dzieciaki biegają tam i z powrotem. Wygląda to tak, jakby w mieszkaniu było pełno błędnych ogników, a ja nie mogę ich ugasić, zajmuje mi się podłoga. W końcu informuję Crystal, że idziemy z Catherine do kina. Crystal przegląda ubrania dziecięce, których całą torbę przywiozła dla niej moja najstarsza córka. „Bawcie się dobrze”, mówi z uśmiechem.

- Gdy wrócimy, może będą już spać - staram się pocieszyć córkę.

- Wygląda na to, że to my nie mamy domu - zauważa Catherine po drodze do centrum, do Olympii.

Wracamy. Dzieci śpią. Leżą wszędzie, przewieszane przez oparcia foteli i kanapy, pod niskim stolikiem, na dywaniku, na gołej podłodze. Przypominają mi małe ptaszki, które zostały zestrzelone w locie i leżą tam, gdzie upadły. Crystal śpi w fotelu bujanym. Gdy przechodzimy na palcach obok niej, pytam Catherine, czy chce spać ze mną, przytakuje, ale ani ona, ani ja nie możemy zasnąć. „A jeśli nie wyjadą?”, szepcze moja córka. Ta myśl mnie też nie daje spokoju.

Następnego ranka Crystal nie spieszy się. Starannie wybiera skarpetki spośród tych, które wzięła z torby, starannie zawiązuje sznurowadła. Każdy ma na sobie coś nowego, każdy ma uczesane włosy, każdy myje twarz i zęby. Patrzę na to wszystko w takim stanie ducha, jaki jest odpowiednikiem załamywania rąk, i zerkam ukradkiem na zegar. A jeżeli spóźnię się na autobus? A jeżeli będzie chciała zostać tu dłużej? Czegokolwiek ma to być sprawdzian, nie zaliczam go. Wreszcie są gotowi do wyjścia. Crystal niesie walizkę, którą dałam jej, żeby zapakowała resztę

rzeczy po dzieciach mojej córki.

- Bałam się, że nie zdążycie na autobus - odzywam się z nadzieją, że nie słyhać ulgi w moim głosie. Mają pięćdziesiąt pięć minut na dojazd do Port Authority.

- Wolałam ich nie poganiać - mówi Crystal. - Chciałam, żeby było tak jak w zwykły dzień.

Zrobiłam im kanapki na podróż - z masłem orzechowym i z dżemem - najstarsza dziewczynka bierze reklamówkę, cicho wypowiadając słowa podziękowania.

Żegnamy się, obejmując serdecznie. Crystal obiecuje, że zadzwoni. Jest pełna wdzięczności, na którą nie zasługuję. Oto stoi przede mną dzielna kobieta, która zabiera ośmioro swych dzieci do obcego miasta, gdzie nikogo nie zna, a ja myślę tylko o jednym: Błagam, nie prosź mnie o to, czego nie mogę dać. Poniekąd boję się, że jutro znowu zobaczę ich wszystkich pod West Side Market. Kilka dni później Crystal dzwoni z Alabamy: dojechali szczęśliwie, mają dach nad głową, znalazła już pracę, w barze samoobsługowym.

Potem przez długi czas ogarniał mnie strach, gdy dzwonił telefon. Truchlałam, gdy rozlegał się dzwonek u drzwi. Tak samo bałam się tego, że znowu ją zobaczę, jak i tego, że nie zobaczę jej nigdy więcej. Nie miałam wewnętrznej siły i dobrze o tym wiedziałam, a najbardziej bałam się tego, kim się stanę, gdy powiem „nie”.

3.

Jest rok dwa tysiące trzeci. Pani, która została niedawno zatrudniona na stanowisku pracownika socjalnego w Northeast Center for Special Care, pozdrawia mnie, gdy idę korytarzem na oddziale neurologicznym. Ten

oddział jest zamknięty; wszyscy mieszkańcy mają poważne zaburzenia zachowania na skutek urazu mózgu. „Słaba kontrola impulsów”, mówi się eufemistycznie. Gdy owa młoda kobieta się przedstawia, informuję ją, że odwiedzam swego męża. Pyta, jak się nazywa. Odpowiadam. Słyszę jej świergot, nazbyt pogodny:

- Zajmiemy się tym, żeby Rich wrócił do domu.

Mój mąż został potrącony przez samochód trzy lata temu. Doznał obrażeń mózgu. Czy ta kobieta zna mojego męża? Czy ona w ogóle na czymś się zna?

- Ten etap mamy już dawno za sobą - mówię.

- Och, w takim razie na weekendy.

Nie mam ochoty się uśmiechnąć. Ta kobieta nie postępuje w dobrej wierze, działa jak automat. Na jedno kopyto.

Nie chcę zabierać męża do domu na weekendy. Nie znaczy to, że go nie kocham, że nie tęsknię za nim, natomiast wiem, co jest możliwe, a co nie. Pourazowemu uszkodzeniu mózgu towarzyszą: psychoza, paranoja, halucynacje, agresywne zachowanie, napady wściekłości.

Pamiętam, jak szybko mój mąż stracił i tak słaby kontakt z rzeczywistością. Praktycznie rzecz biorąc, był obłąkany. Stał pośród zakrwawionych ciał, bezbronny w walce, zdesperowany i przerażony. Gestapo miało go zabrać. Jedzenie było zatrute, mieszkanie nie należało do nas, tylko było wierną kopią naszego, dlaczego ja go oszukuję? Zdarzało się również, że przez jakiś czas był łagodnym, uroczym człowiekiem, ale żył w obłądnie. Przez całą dobę w naszym domu przebywały opiekunki; razem woziliśmy go na wizyty do lekarza i na rehabilitację, dbaliśmy, żeby wkładał czyste ubranie i buty, chodził na

spacery do parku. Proste czynności wymagały wiele wysiłku. To, co zwykły człowiek wykonuje w pięć minut, Rich robił godzinami, więc przekonaliśmy się, że musi zacząć się szykować na długo przed wyjściem, ale on wpadał w szał i często w ogóle nie wychodziliśmy. Opiekunki pracowały na trzy zmiany, szły do siebie po ośmiu godzinach; zostawialiśmy tylko my - Rich i ja - my byliśmy u siebie.

Pięć tygodni później przyjęto Richa na oddział psychiatryczny innego szpitala, a stamtąd przeniesiono go do ośrodka rehabilitacji na Long Island. Stan jego zdrowia nie uległ poprawie i po dziesięciu miesiącach uznano, że nie może tam dłużej przebywać. To nie był ośrodek zamknięty - Rich kilkakrotnie wyszedł z budynku, ruszył pod górę w kierunku sześciopasmowej autostrady. Zablokowano windę, co było niedogodnością dla wszystkich, ale potem on znalazł schody. Powiedziano mi, że, niestety, Rich nie wraca do zdrowia, że nie da się zapewnić mu bezpieczeństwa i że potrzebne jest łóżko, które teraz zajmuje.

Pamiętam, jak siedziałam w niewielkim pokoju razem z panią nadzorującą przebieg leczenia. Bardzo ją lubiłam. Przez ten rok zdążyłyśmy dobrze się poznać. „Co nam pozostaje?“, zapytałam. Sprawiała wrażenie skrupowanej. Powiedziała, że mogę poszukać domu opieki z oddziałem zamkniętym, choć trudno by jej było na oczekaniu zaproponować mi takie miejsce, albo mogę zabrać męża do domu.

Mam zabrać go do domu?!

Ogarnęło mnie przerażenie. Co z nami będzie? Jak potoczy się moje życie? Przestanę być żoną Richa, a stanę się jego i swoim strażnikiem. Takie poświęcenie nie miało sensu, nie potrafiłam się na nie zdobyć.

Prawie pięć lat nie mogłam zaakceptować swojej postawy. Co ze mnie za kobieta? A moja przysięga małżeńska? Dlaczego ułożenie sobie życia jest dla mnie ważniejsze niż opiekowanie się mężem? Ciągłe zapominałam, że tak naprawdę opiekowanie się nim przekracza moje możliwości. Strach przesłaniał mi prawdę: jedna osoba ani nawet dwie nie zdołałyby zająć się mężczyzną, który jest w takim stanie jak Rich. Skąd więc brało się we mnie to poczucie wstydu? Do jakich norm my, kobiety, się dostosowujemy? Po wielu latach mogę wreszcie powiedzieć: „Chcę mieć swoje życie” i nie wyrzucać sobie, że jestem nienormalna, samolubna, tchórzliwa.

Tamta pani niezbyt długo utrzymała się na stanowisku pracownika socjalnego.

4.

Wróciwszy do domu, z początku mam poczucie pustki wokół siebie, choć psy witają mnie szczekaniem i podskokami. Daję im jeść, nalewam świeżą wodę do miski. Jeżeli Rich pozmywał naczynia, zdejmuję je z suszarki i myję ponownie - wzrok mu szwankuje. Czasem robię sobie herbatę. Gdy idę do salonu, psy biegną za mną; Rosie wskakuje na poduszkę, o którą opieram się, siadając w dużym czerwonym fotelu, Harry i Carolina zwijają się w kłębek na rogach kanapy. Niebieski fotel, na którym siedział Rich, jest pusty. Mija z pół godziny, zanim ponownie wypełnimy dom, ale tak się staje.

KWESTIA WINY

Zeszłego lata podmuch wiatru otworzył drzwi i na oszkloną werandę wpadł kardynał. Nie wiem, jak długo tkwił tam zamknięty, zanim rozszczękały się psy. Ptak był nieduży, a może tylko tak wyglądał, gdy trzepotał czerwonymi skrzydełkami i walił w szybę naprzeciwko drzwi. Zamknęłam psy w kuchni, poszłam na werandę i machając rękami, zaczęłam wydawać polecenia: „Nie, głupcze, wracaj, drzwi są za tobą, przecież mówię, że za tobą”, ale ptak wystraszył się jeszcze bardziej. Wzięłam szczotkę i spróbowałam wygonić go na wolność, lecz to też nie poskutkowało. Zaczęłam się zastanawiać, jak długo to stworzenie jest zamknięte i ile minie czasu, nim jego oszalałe ze strachu serce odmówi posłuszeństwa. Poszłam po ręcznik i na szczęście udało mi się nakryć ptaka za pierwszym razem. Trzymając go w ręku, czułam, jak ta kruszyna rzuca się pod materiałem - coś niesamowitego! - zaraz go wypuściłam i spoglądałam, jak wzbija się wysoko między gałęzie sosny - czerwona plamka na zielonym tle. Przeszklone drzwi kiepsko trzymały się na zawiasach. Zamknęłam je i zablokowałam klamkę, podstawiając krzesło, żeby wiatr znowu ich nie otworzył.

Wspominam o tym ptaku, bo ostatnio interesuje mnie kwestia winy.

Trzydzieści lat temu mój stary przyjaciel Quin zrobił krok w tył i obcasem przygniół głowę kociakowi. Zaniósł maleństwo do łazienki, napuścił ciepłej wody do umywalki i zanurzył je, bo wciąż żyło, mimo że krew płynęła mu z oczu i pyska. Po minucie, która trwała nieskończenie długo, wyjął stworzenie, a ono nabrało gwałtownie powietrza. Wobec tego drugi raz włożył kotka do wody, i trzeci, aż uszło z niego dziewięć żywotów. Zanim to się stało, woda zrobiła się różowa i potem czerwona.

Quin milczał przez resztę popołudnia.

Nie wiem, jaki jest związek między tymi zwierzętami i kwestią winy. Ale oto następna historia - o szopie, którego widziałam przy Palisades Parkway przed dwoma laty. Zapewne potrącił go jadący przede mną samochód, bo gdy mijalam zwierzę, lewa część ciała była zmiażdżona, a prawa wciąż przebierała szaleńczo łapami w powietrzu. W akcie miłosierdzia należało przejechać je ponownie, lecz nie pomyślałam dostatecznie szybko, poza tym nie zdołałabym tego zrobić. Wciąż mam ten obraz przed oczami - nie zaciera się.

Rozmyślałam o zwierzętach i o winie, wpatruję się w ogień na kominku, Rosie śpi na poduszce za moimi plecami. Chętnie sprawdziłabym w słowniku słowo „wina”, ale nie chce mi się iść po książkę; na dworze szaleje zawieja, śnieg pada płatami przypominającymi płytkie talerze, miękkie i białe, ja zaś siedzę w przytulnym kąciku. Obsesyjnie myślę o poczuciu winy, bo sądzę, że przestało się we mnie odzywać, a przynajmniej opuściło mnie w wariancie uniwersalnym, kiedy człowiek obwinia się za nieudane przyjęcie, gdzie jest tylko gościem, kiedy toksyczne opary unoszą się przy drobnym przewinieniu lub nawet jego braku - na przykład gdy przyjęcie w ogóle nie zostanie wydane. („Nie przejmuj się”, powiada mój przyjaciel Chuck. „Prawdopodobnie zostałam zaproszona w ostatniej chwili”). Niedawno postąpiłam bezmyślnie i w rezultacie ktoś niepotrzebnie pracował przez wiele godzin. Było mi bardzo przykro, przeprosiłam tego człowieka, ale poczucie winy, któremu dawniej towarzyszyła znajoma myśl, że do niczego się nie nadaję, w ogóle się nie odezwało.

W końcu nie mogę pohamować ciekawości. Wstaję i znajduję

słownik, który leży nie tam, gdzie powinien (jestem niezorganizowana, nie potrafię utrzymać porządku, co jest ze mną nie tak?). Sprawdzam słowo „wina”. Dwa z podanych znaczeń stosują się do mnie - jedno brzmi następująco: odpowiedzialność za zły czyn; drugie: wyrzuty sumienia po dokonaniu takiego czynu. O poczuciu winy innego typu - bez względu na wszystko - słownik nie mówi nic, ale to nieważne. Przepaliły się moje receptory na tego rodzaju bzdury.

Wiem, czym jest prawdziwa wina.

To mój mąż doznał obrażeń, nie ja. Ja byłam bezpieczna, tego wieczora siedziałam w mieszkaniu, już ubrana w koszulę nocną, zastanawiałam się, dlaczego Rich nie wraca tak długo, ale byłam zadowolona, że mam pół godziny dla siebie. Rich postanowił iść na wcześniejszą emeryturę; zanim podjął tę decyzję, pracował jako reporter i popadał w przygnębienie i złość, widząc, że to, co kiedyś było newsem, już nim nie jest. Teraz przebywał nieustannie w domu, jak ja; żadne z nas nie potrafiło się do niczego zmobilizować. Ciężar własnych kłopotów - troska o dzieci, nerwowość, której powodów nie rozumiałam, dojmujący smutek po stracie wieloletniego przyjaciela - mogłam łatwo przenieść na Richa. Byłam przyzwyczajona do samotności przez osiem godzin dziennie i jego obecność wytrącała mnie z równowagi. Namawiałam go, żeby zaczął pracować jako wolontariusz; wierciłam mu dziurę w brzuchu, żeby poszedł na jakiś kurs; suszyłam mu głowę, żeby znowu wziął się do pisania - wszystko na próżno. Zrobiłabym wszystko, by wyciągnąć go z domu, choć sama w nim tkwiłam. „Na dobre czy na złe, ale nie na lunch”, mówiła moja przyjaciółka Liz, cytując swoją ciotkę, teraz jednak już nic

mnie nie bawiło. W tamten poniedziałkowy wieczór łatwo było mnie zirytować, więc po kolacji poszłam do sypialni i zaczęłam czytać. Rich pozmywał naczynia, po czym wziął psa na spacer. Dwadzieścia minut wydłużyło się do trzydziestu, do czterdziestu. Wyjrzałam przez okno - na pewno już wraca - ale nie było go widać. Gdzież on jest? Może Harry'emu zachciało się świeżego powietrza, a może Rich wdał się w rozmowę z jakimś właścicielem psa? I wtedy zadzwonił Pedro.

Dopiero po roku okazało się, jak poważnych obrażeń doznał Rich. Jego organizm powracał do zdrowia, ale umysł wciąż niedomagał. Uścisk dłoni był coraz silniejszy, natomiast zmysł równowagi - zaburzony. Rich zataczał się, powłóczył nogami, chodził ze spuszczoną głową. Ja mogłam chodzić, biegać, stać. Widziałam na oboje oczu. Pamiętałam, co jadłam na śniadanie. W przypadku Richa pamięć krótkotrwała była do niczego, przez co nie mógł rozeznaczyć się w czasie; uszkodzenie płatów czołowych spowodowało, że roztrzaskała się jego osobista puszka Pandory. Dopasowywałam jeden szczegół z wyobrażeń Richa do drugiego - jest na polu bitwy, atakują go psy, jego dzieci zagięły - szukając powiązań, chcąc zrozumieć, co uruchamia coś innego w jego głowie. Miałam wrażenie, że zajmuję się poszukiwaniem skarbów w wersji psychologicznej i pod koniec dnia wszystko nabierze sensu. Gdy nie odwiedzałam Richa, dzwoniłam. Gdy miał zły dzień, dzwoniłam w kółko. Oddzielenie mojego życia od jego życia było niemożliwością.

Minęło dużo czasu, zanim padło słowo „nieodwracalny”. Rich doznał nieodwracalnych uszkodzeń mózgu. Nigdy nie zamieszka ponownie w domu, nie będzie prowadził samochodu, czytał książki, robił kawy. Wiedziałam o tym i jednocześnie nie dawałam temu wiary. Ale

czternaście miesięcy po wypadku podjęłyśmy z Sally decyzję, by przenieść Richa do ośrodka długoterminowej opieki dla ludzi z obrażeniami mózgu. Personel znał się na swojej robocie, widział już wszystko, był życzliwy, cierpliwy i przepracowany - budził moje zaufanie. Po paru tygodniach ktoś napomknął delikatnie, że częste telefony są niepotrzebne. Nie muszę się tak przejmować. Jeżeli pojawią się kłopoty, będę zawiadomiona. Uznałam, że w tej niezwykle miłej formie powiedziano mi: zrób coś ze swoim życiem.

No i tym się zajęłam. Ułożyłam sobie życie z rodziną, przyjaciółmi i psami. Nauczyłam się korzystać z samotności, której teraz miałam pod dostatkiem. Zabrałam się do pisania, bo chciałam, żeby coś pożytecznego wynikło z naszej tragedii. Ciężka praca zaczęła dawać mi z czasem zadowolenie. Napady paranoi u Richa powoli ustępowały. Dwa lata po wypadku kupiłam dom bliżej ośrodka opieki i mogłam popołudniami zabierać męża do siebie. Zawarłam nowe przyjaźnie, nauczyłam się robić na drutach, pilnowałam psów, gdy biegały bez smyczy. Poznałam innych pisarzy; zaczęliśmy spotykać się i dzielić doświadczeniami. I pewnego dnia zadałam sobie potworne pytanie: Gdybym mogła sprawić, że do wypadku by nie doszło, czy bym to zrobiła? Chyba jasne, że tak. Prawda? Ale zamiast powiedzieć „tak”, zawahałam się. Zadając to pytanie, nadałam sobie moc sprawczą, a wahając się, zajęłam miejsce za kierownicą samochodu, który potracił mego męża.

Jak tu nie mówić o winie?

Żyłam w poczuciu wstydu długi czas, zanim mogłam o tym rozmawiać. W końcu zwierzyłam się swojej siostrze. „Ależ tu nie chodzi o

wypadek Richa”, zauważyła Eliza. „Ty nie chcesz być znowu nieszczęśliwa. I tyle”. Nigdy nie zapomnę tej chwili absolutnej klarowności. Nagle stałam się wolnym człowiekiem.

A jednak wciąż mówię w duchu: Spójrz na siebie. Jak możesz? Zbudowałaś to na tragedii.

Staram się pojąć to wszystko. Poczucie winy u ocalałego, akceptacja faktów - słysząc te wyrażenia, przewracałam oczami; przecież jestem zbyt doświadczona, żeby ulegać takim stereotypom. Uważałam, że pogodziłam się z wypadkiem Richa, nawet jeśli stawiałam się w sytuacji sprzed wypadku. Rich nie wyszedł jeszcze na spacer. Mogę zatrzymać go w drzwiach. Uważałam, że brak akceptacji oznacza stanięcie twarzą przed murem, niemożność funkcjonowania. Zatem sięgam teraz po słownik i sprawdzam słowo „akceptacja”. Podana tam definicja - przyjęcie czegoś z aprobatą - brzmi niewłaściwie. Patrząc na początek hasła, gdzie jest podane znaczenie najwcześniejszego rdzenia tego słowa - „chwycić” - i dowiaduję się, że pochodzi ono od staroangielskiego „nić do tkania”, no właśnie, o to chodzi. Nie można wyciągać nici. Trzeba ją wpleść i tkać dalej.

Kocham męża. Ilekroć go widzę, przez moment nie wierzę własnym oczom. Patrząc na jego twarz i nasuwa mi się tylko jedna myśl: Jak ci się to przydarzyło? Nie mogę uwierzyć, że coś takiego ci się stało! Gdybym tylko mogła, przywróciłabym mu zdrowie. Gdybym tylko mogła, sprawiłabym, by tamten dzień potoczył się zupełnie inaczej. Nie kupiłabym tej nowej smyczy, która okazała się słaba i pękła. Sama wyprowadziłabym psa na spacer. Dotrzymałabym towarzystwa Richowi.

Zdarzają się dni, gdy nic się rwie, widzę, że mój mąż leży na Riverside Drive, ma rozbitą głowę, na ulicy są plamy krwi, i zamiera we mnie dech. Ale to mija. Rich jest mi potrzebny do szczęścia; kocham go takim, jakim jest teraz; kocham siebie taką, jaka przy nim jestem; czasem udaje mi się jednocześnie pomieścić w głowie te dwie prawdy: pragnę, żeby był zdrowy, i lubię swoje życie.

Jest zimowe popołudnie. Patrzę na kominek, psy śpią, myśli krążą mi po głowie, aż osiadą w spokoju. Płynie w nas życie. Nasze rozmowy nie są męczące. „Dobry piesek, dobry piesek”. Zwierzaki wypadają na dwór i obserwuję, jak zapamiętałe coś tropią. Pojawia się tu biała kotka (myślę, że to kotka, a nie kot), zainteresowana rozpadającym się, czerwonym kojcem dla kurczaków - na jej widok psy dostają szału. Kiedyś wzięłam ją za oposa. Czasem z rozrośniętych forsycji wypadają sarny i z gracją biegną susami do lasu; w pościg za nimi ruszają psy; gdy doleczą do białych chorągiewek, gdzie jest zakopane elektryczne ogrodzenie, stają niemal w miejscu. Lśnią białe plamy przy ogonkach znikających wśród drzew saren. Może dlatego nazywa się tę plamę lusterkiem. Wczoraj znalazłam na dywanie kreta - miał mały różowy ryjek i różowe łapki. Ucieszyłam się, że jest martwy, że nie czeka go powolna śmierć; byłam zadowolona, że psy nie robią sobie zabawy. Wzięłam go na kawałek tkaniny i wyrzuciłam na śmietnik.

Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi na myśl, żeby dotknąć miękkiego futerka albo poczuć ciężar małego ciała na ręku.

Żałuję, że tego nie zrobiłam.

EDWARD BUTTERMAN ŚPI W DOMU

Moja przyjaciółka Jo zaprasza mnie na kolację.

- Będzie gulasz wołowy i trzy desery - oświadcza radośnie.

Serdecznie dziękuję, ale Rich jest w szpitalu, spędziłam u niego cały dzień i po prostu lecę z nóg.

- W takim razie przyniesiemy ci resztki - zapowiada Jo.

Następnego ranka staje w drzwiach. Wręcza mi paczuszkę owiniętą folią.

- Gulasz zjedliśmy do końca - mówi. - Ale masz tu trzy desery.

Ponieważ Rich ostatnio przepada za słodyczami, zabieram desery Jo do szpitala. Rich właśnie kończy lunch, więc podaję mu paczuszkę.

- Co to jest? - pyta. - Gulasz wołowy?

Uwielbiam takie sytuacje. Dzieją się ciągle. Rich nie ma pojęcia o istnieniu Jo ani o potrawie, którą przyrządziła na kolację, ale odkąd uległ wypadkowi mówi o rzeczach, o których nie ma prawa wiedzieć. Może gdy jakaś część mózgu jest poważnie uszkodzona, zaczyna działać inna. Może tyłomózgowie, jedna z pierwotnych części mózgu, wciąż znajduje się tam w głębi, pod bardziej rozwiniętymi warstwami, i komunikuje się inaczej, nie za pomocą języka. Kto wie, czy pod tymi warstwami nie kryją się bezcenne skarby?

Ostatecznie komu potrzebne są słowa? Moje psy znają mnie lepiej, niż ja znam samą siebie. Gdy patrzą na mnie błagalnym wzrokiem, mówiącym: Nie, nie rób tego, uprzytamniam sobie, że zamierzam jechać do miasta na kawę i po gazetę.

Za pierwszym razem rzecz dotyczyła szczeniaka.

Moja przyjaciółka Denise przyjechała na wschód po śmierci ukochanego psa o imieniu Gus. W dawnych czasach, przed wypadkiem, zarówno Rich, jak i Denise nałogowo polowali na newsy; to ona dała mu pięćdziesiąt ołówków z wyrytym napisem „Najmilszy mężczyzna na świecie”. Drugiego dnia jej pobytu pojechałyśmy do centrum zrobić zakupy i na trotuarze przed sklepem zobaczyłyśmy kobietę, która trzymała nieproporcjonalnie wysokiego i chudego szczeniaka kremowej maści. Był to biały doberman z nieobciętymi uszami i ogonem - na sprzedaż. Obserwowałam twarz Denise, gdy wzięła psa na ręce, i wiedziałam, że klamka zapadła. Wieczorem ów szczeniak - dostał na imię Henry - biegał po całym mieszkaniu z moimi psami, Harrym i Rosie, szczekając wraz z nimi. Pamiętam, że przeszło mi przez myśl, iż Richowi nie podobałoby się to zamieszanie. I wtedy zabrzączał telefon. Zadzwoniła pielęgniarka z ośrodka, gdzie przebywał Rich, i powiedziała, że mój mąż nie chce wyjść z pokoju, twierdzi, że za drzwiami są doberman, które tylko czekają, żeby się na niego rzucić.

Rich nic nie wiedział o szczeniaku znajdującym się w naszym mieszkaniu.

Dzisiaj Rich wspomina o Eddiem Buttermanie i dorzuca coś o giełdzie. Już dawniej napomykał o Eddiem, ale nigdy nie wymieniał jego nazwiska.

- Kim jest Eddie? - zapytałam za pierwszym razem.

- To nasz ukochany Eddie - odparł. - Jedyne na świecie.

Rich rozpakowuje desery i łamie ciasteczko czekoladowe, proponując mi połówkę.

- Nie, dziękuję - odpowiadam, ale on i tak odkłada ją dla mnie na

serwetkę.

Unosząc swoją połówkę do ust, mówi:

- Znowu przyszedł tu ten bawidamek. Może powinienem go naśladować?

- Kogo? - zapytałam. - Naśladować kogo?

- Tego bawidamka.

Uśmiecha się, wkłada ciastko do ust i na tym kończy się ta rozmowa.

Pół roku temu pokłóciłam się z przyjaciółką. Napisałam o czymś, co ktoś powiedział przed wieloma laty, ale w istocie rzeczy usłyszała to ona, a nie ja. Ten fakt wyleciał mi z głowy. Przyjaciółka tak ceniła sobie tamto przeżycie, że zarzuciła mi kradzież swojego wspomnienia. Na dodatek żal, który towarzyszył jej doświadczeniu, w mojej wersji przemienił się jakoś we wdzięczność, tak więc nie tylko przywłaszczyłam sobie jej wspomnienie, ale również je zniekształciłam. Spierałyśmy się, nie mogąc znaleźć płaszczyzny porozumienia. Potem przez wiele dni chodziły mi po głowie te same pytania. Czy wspomnienie jest własnością? Jeżeli dwie osoby pamiętają coś inaczej, czy w takim razie któraś z nich się myli? Czy moje wspomnienie wspomnienia nie jest także autentyczne? Nie miałam pewnych odpowiedzi, chodziłam krętymi drózkami, drepcząc w kółko. Nie myślałam o niczym innym; między mną a moją przyjaciółką rozwarła się przepaść.

Gdy w czwartek poszłam odwiedzić Richa, od razu powiedział:

- Wybacz egoizm staremu człowiekowi, który zawłaszcza przeszłość...

Zawiesił głos, ale ja już słuchałam uważnie, zaskoczona tym, że jego

słowa nawiązują do moich wcześniejszych myśli.

- ... wersję przeszłości, Eddie może jeszcze nie doświadczył niczego podobnego, ale gdy stronica została przewrócona, uprzytomnił sobie, że umie snuć opowieści... Wiele opowiedzianych od nowa baśni, legend i bajek popłynęło najpierw z ich ust: Eddiego i twojego ojca.

Zacząłam grzebać w torbie, szukając pióra i zeszytu.

- Gdy człowiek zada sobie trud, żeby zostać bajarzem - ciągnął Rich - idzie na całego, chce być nie tylko tym pierwszym, ale i jedynym... Nie twierdzę, że tak się stało. Zawsze ogarnia mnie radość, gdy tak jest, pod warunkiem że nie zrani się niczyich uczuć.

Staralam się pisać jak najszybciej.

- W bajkach Eddiego słychać wielu bazarzy, jednak żaden z nich nie czuje się poszkodowany przez to, że nie został wybrany jako pierwszy czy drugi z ławki rezerwowych. Opowiadanie bajek jest sztuką zbyt zróżnicowaną, by jedna osoba opanowała ją całkowicie.

Mówił wolno, z przerwami, jakby dyktował. Słuchałam go ze zdumieniem. Nic nie wiedział o sprzeczce, nawet nie zdołałby jej zrozumieć. Co więcej, dotychczas wypowiadał na dany temat jedno, najwyżej dwa zdania. A tu rozwodził się tak elokwentnie właśnie o tym, co od jakiegoś czasu zaprzętało mi głowę.

- ... w niepamięć poszedł ten sposób opowiadania, czas Eddiego, gdy dokładał wspomnienie do wspomnienia w głębokim lesie, warstwy ziemi, liści i gałęzi zostają przykryte... w pewnym sensie stąpamy po przeszłości.

Na moich oczach działał się cud.

Tak więc, gdy podczas mojej wizyty w szpitalu Rich wspomina o

Eddiem Buttermanie, dzwonię później do brata Richa.

- To nasz kuzyn ze strony ojca - wyjaśnia Gil. - Nie używaliśmy imienia Edward, zawsze był dla nas Eddiem. Prowadził jakąś działalność na giełdzie, ożenił się z dziedziczką firmy obuwniczej, był bardzo towarzyski, znali go wszyscy bywalcy wyścigów. Nawet nosił kraciastą marynarkę, jak w musicalu *Guys and Dolls*. Wyjechał na zachód i zniknął dawno temu. Nikt nie wie, co się z nim stało.

Rich jest w szpitalu, ponieważ w zeszły piątek nie poznawał mnie. Początkowo myślałam, że robi sobie żarty, wydawało mi się, że widzę w jego oczach błysk rozbawienia. Najpierw zaczęłam krzyczeć, potem błagałam go: „Natychmiast się do mnie odezwij, w tej chwili, odezwij się”. W ogóle nie reagował, ani na mnie, ani na pielęgniarki, ani na szturchnięcie w rękę czy szarpnięcie za ramię, co niezawodnie pobudzało go do gniewu. Żadnej reakcji. Zmierzono mu ciśnienie - w normie, temperaturę - w normie. Ale on był nieobecny. Gdy zaczął wracać ze świata, w którym przebywał, nie mógł chodzić. Nie mógł nawet utrzymać się na nogach. Padły słowa: „atak”, „udar”.

Parę lat temu pojechałam z Denise do Meksyku. Podczas pobytu tam obie liczyłyśmy dni, kiedy znowu będziemy z naszymi psami. Zachowywałyśmy się beznadziejnie. San Miguel było wspaniałe - koguty i doniczki z kwiatami na dachach, nasz dom przy stromej, brukowanej ulicy, pyszne jedzenie - a my chciałyśmy tylko wsiąść do samolotu i wrócić do naszych psów. Któregoś ranka próbowałam dodzwonić się do Richa. On przebywał w Northeast Center for Special Care w Lake Katrine, w stanie Nowy Jork, ja zaś w San Miguel de Allende, w Meksyku.

Wydzierałam się w telefon, żeby mnie usłyszał, żeby nie odsunął słuchawki od ucha. Wpatrywałam się w kafelek na blacie i krzyczałam:

- Rich? Rich? Słyszysz mnie?

- Halo - odrzekł z pewną powściągliwością.

- Jak się czujesz? - zawołałam, przebijając wzrokiem płytkę terakotową.

- Świetnie - odparł.

- Co robiłeś? - wrzasnęłam.

Zapadło milczenie.

- Dzisiaj robiliśmy płytki ceramiczne - odezwał się po chwili.

Wróciwszy do domu, sprawdziłam tę wiadomość. Rozmawiałam nawet z osobą, która prowadzi zajęcia plastyczne i organizuje wolny czas. Nie robiono płytek ceramicznych ani tamtego tygodnia, ani nigdy przedtem.

Zawsze wierzyłam (nie bez zażenowania), że istnieje świat niewidzialny. Znam ludzi, z którymi kontaktowali się zmarli. Moja siostra ma przecucia. Od czasu do czasu ktoś siada w nogach mego łóżka, materac ugina się pod ciężarem; gdy się budzę, nie widzę w pokoju nikogo, tylko czuję przyjazną atmosferę. Poważni obywatele z grona moich znajomych widzieli duchy. Ale Rich nie zajmował się takimi sprawami. Pracował jako reporter, polegał na dowodach, a tu nie było dowodów. Ciekawa jestem, co dawny Rich miałby do powiedzenia o nowym Richu.

Jest już po lunchu, Rich zasnął.

- On dużo palił, prawda? - pytają mnie trzej lekarze po obejrzeniu

jego spuchniętych nóg.

- Rich w ogóle nie palił - mówię, zastanawiając się, co czeka mnie, sześćdziesięcioletnią kobietę, która wypala paczkę dziennie.

Na twarzach lekarzy maluje się zdziwienie.

Nie jest to do końca prawda. Rich mówił mi, że przez całe życie miał sześć razy papierosa w ustach i za każdym razem wypalił jedynie kawałek.

Swego czasu poddałam się hipnozie, żeby rzucić palenie. Wypalałam trzy paczki dziennie, a pewnego wieczora, gdy pisałam dla „New York Post” skróconą wersję życiorysu George'a Steinbrennera* (żadnych negatywnych stwierdzeń, powiedziano mi), wykończyłam czwartą. Następnego dnia zadzwoniłam do hipnotyzera, choć byłam w strachu. A jeśli nie wrócę z miejsca, do którego się udam? Wyobraziłam sobie, że dyndam na końcu wędki zarzuconej daleko od brzegu jeziora i nie można mnie przyciągnąć. Co się ze mną stanie? Kto będzie zamieszkiwał moje ciało? Hipnotyzer wiązał długie siwe włosy w kucyk i nosił hipisowskie koraliki na szyi. „Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby klient odpłynął i nie wrócił”, powiedział. Weszłam do gabinetu jako palaczka i po trzech godzinach wyszłam stamtąd, nie mając ochoty na papierosa. Było tak przez dwadzieścia lat.

Moja córka Jennifer wie, że palę. Wyczuwa to przez telefon.

- Skądże! Jeszcze nie zwariowałam - zarzekam się. - Właśnie piję herbatę.

Jennifer spodziewa się w sierpniu bliźniąt, więc ze wszech miar zależy jej na tym, by mieć zdrową matkę.

Kilka miesięcy temu zastanawiałam się, czy mieszkając na stałe w

tym domu, stać mnie na zatrzymanie mieszkania w mieście. Zbliżała się zima, olej był drogi, niedługo będę musiała wyremontować dach, no i zająć się swoim potomstwem, któremu co jakiś czas przydałaby się pomoc. Bardzo się tym przejmowałam. Próbowałam wyobrazić sobie, że sprzedaję mieszkanie, w którym przeżyłam prawie trzydzieści lat. Żal nie ściszał mi serca, ponieważ wszystkie moje rzeczy już znajdowały się tutaj, a to, co zostało w mieszkaniu, przypominało czyjąś nadjedzoną kanapkę. Ale jednak...

W czwartek pojechałam zabrać Richa do domu na całe popołudnie.

- Nie mogę stąd wyjechać - powiedział, gdy tylko weszłam.

- Dlaczego? - spytałam.

- Musimy sprzedać mieszkanie - rzekł. - Dziś przychodzi pośredniczka w handlu nieruchomościami.

Rich od lat nie wspominał o mieszkaniu. Sądziłam, że w ogóle o nim nie pamięta.

Codziennie odwiedzam Richa w szpitalu. Papierosy zostawiam w samochodzie. Pacjenci po udarze i po ataku serca zajmują całe piętro szpitala. Czy chcę, żeby i mnie to spotkało? Palenie nawet nie sprawia mi przyjemności. Nie chcę papierosa. Ale coś, co sięga dalej niż ja, chce zapalić i w rezultacie wypalam paczkę dziennie. Co za absurd.

Trzeciego dnia Rich informuje mnie, że czeka go amputacja stopy. Mówi to spokojnym, rzeczowym tonem.

- Nie będzie żadnej amputacji - zapewniam go. - Z twoją stopą jest wszystko w porządku.

Zaraz jednak opadają mi wątpliwości. Może po ostatnim epizodzie

chorobowym Rich stracił czucie. Może był odrętwiały. Czy dlatego nie mógł ustać? To wyjaśniałoby całe zdarzenie. Gładzę go po nodze.

- Czujesz coś?

Kiwa głową.

- A teraz?

Znowu kiwa głową.

- Ile potrzeba czucia, by wiadomo było, że ma się duży palec u nogi?

- pyta.

Nie tak dawno temu poproszono mnie, żebym napisała szkic o byciu opiekunką. Omal nie powiedziałam: Ale ja nie jestem opiekunką. Jestem żoną. Całymi dniami robiłam notatki, płakałam z bezradności i smutku, nadal zajmując pozycję obronną, nadal usprawiedliwiając się, dlaczego nie zabrałam męża do domu na stałe. Nie czułam się na siłach, by to zrobić, powtarzałam sobie, nikt by nie dał rady. Gdy tamtego tygodnia odwiedziłam Richa, wspomniał o naszych kłopotach.

- Jakich kłopotach? - spytałam.

Z całą przytomnością odparł:

- Mam dosyć tego miejsca, chcę wrócić do Nowego Jorku. Uważam, że niewiele mi tu pomagają i mogą mnie oddać pod twoją opiekę.

Nurtuje mnie pytanie, dokąd Rich podążył, gdy się stąd zabrał. Siedział na krześle w świetlicy - głowa spuszczone, ręce splecione, twarz pozbawiona wyrazu. Ludzie nie mogą się jednak powstrzymać od interpretacji nawet tępego spojrzenia: kto wie, czy trwanie naszego gatunku nie będzie zależało od zdolności odczytywania wyrazu twarzy. Za ileś tam lat pusty wzrok Richa być może pozostanie w mojej pamięci jako

wyraz zaskoczenia i czułości. W wyobraźni usłyszę jego głos: O co to całe zamieszanie? Zostaw mnie w spokoju, nic mi nie jest, po prostu siedzę sobie za domem i grzeję się w słońcu. Jestem pewna, że stanie się tak, bo chcę w to wierzyć.

Pamiętam, dokąd ja sama podążyłam. Gdy zostałam wprowadzona w stan hipnozy, zeszłam bosą po kondygnacjach różowych marmurowych schodów, miękkich w dotyku, na trawiasty brzeg niebieskiego jeziora. Byłam wilgotną gliną, gotową przyjmować. W drodze powrotnej wchodziłam po schodach pełna spokoju. Po opuszczeniu gabinetu szłam do domu powoli, zwracając twarz ku słońcu. Gdy Rich wrócił do nas, szalał ze złości. Może chciał tam zostać, a my ściągnęliśmy go z powrotem. Kto to wie?

Tydzień później Rich zostaje wypisany ze szpitala. Opiekujący się nim lekarze są skrupulatni i mili; jeden z nich hoduje owce. Zrobili wszystkie możliwe badania i uznali, że wyniki są w normie. Alleluja. Zgodnie oświadczają, że Rich był odwodniony i to doprowadziło do owego epizodu, jak teraz mówimy. Odwodnienie. Jesteśmy takimi prostymi organizmami. W sobotę Richowi udaje się przejść kilka kroków. Wieczorem, gdy wracam do domu, nie zapalam w samochodzie papierosa. Tego dnia rzucam palenie.

Nie mam ochoty na papierosa, nie zmagam się ze sobą. Odczuwam spokój. I bądź tu mądry!

- Edward Buttermann śpi w domu - powiedział do mnie wczoraj Rich.
Zastanawiam się, czy powinnam do kogoś zadzwonić.

ROBÓTKI NA DRUTACH OD 2002 ROKU DO DZIŚ

112 szali

1/2 swetra

1/4 swetra

47 bluz z kapturem

34 przeróbki kapturów

17 koców

29 ponch

52 kapelusze

15 ciepłych wdzianek z falbankami

323 szaliki

1 derka na posłanie dla psa

2/3 narzuty przeznaczonej na prezent ślubny

34 ocieplacze na szyję (własnego pomysłu)

1 opaska na włosy

SZTUKA MARGINESU

Mam kolekcję kur i dużo starych książek. Mam niewielkie koniki z drewna i większe koniki z drewna, i rupiecie zabrane z ulicy, na przykład wycieraczkę przedniej szyby, zgniecioną pod kołami samochodu i podobną do ptaka, oraz palnik gazowy bardzo starej kuchenki, znaleziony w lesie przez mojego syna w dzieciństwie, przypominający, gdy postawić go na sztorc, stwora, którego dzieci i ja nazwaliśmy Szczurzym Królem. Mam zbiór kamieni do puszczenia kaczek, niegdyś własność mojego ojca, leżący na czarnej popielniczce z plastiku. Mam skamieliny, paciorki i szafy pełne włóczki. Mimo to nigdy nie zżerała mnie chęć posiadania czegoś. Aż pewnego dnia, dwa lata po wypadku, któremu uległ mój mąż, przechadzałam się po raz pierwszy po Northeast Center i zobaczyłam te zdumiewające obrazy. Wszystkie namalowali mieszkańcy ośrodka. Zwłaszcza jeden wprost ściał mnie z nóg. Były na nim czerwone domy, niebieskie niebo, pomarańczowe wzgórza, zielona trawa i białe obłoki. W prawym górnym rogu znajdowało się żółte słońce z uśmiechniętą buzią. Poprawiał mi humor, więc zatrzymywałam się przed tym obrazem, idąc na górę do pokoju męża i ponownie, gdy od niego wychodziłam. Po paru tygodniach ośmieliłam się zapytać, czy dzieła są na sprzedaż, jeśli tak, czy mogłabym kupić obraz wiszący nad wodotryskiem z wodą do picia.

Był na sprzedaż. Nie wierzyłam własnemu szczęściu. Bill Richards, malarz, który prowadził tamtejszą pracownię plastyczną, przedstawił mnie autorowi dzieła, Edowi Kindbergowi, nieśmiałemu panu na wózku inwalidzkim. Ed zaczął malować dopiero po przybyciu do ośrodka i od tamtego czasu nie mógł przestać. Kupiłam od niego ten obraz, a potem jeszcze dwa. Też nie mogłam przestać. Ed był pełen szczęścia, natomiast

ja wpadłam w obsesję. Ilekroć odwiedzałam Richa, najpierw szłam prosto do pracowni. Malarstwo Eda ulegało zmianie. Dachy domów upodobiły się do kocich uszu, po niebie nad dachami zaczęły przepływać głowy kotów. Wzgórza poczerniały. Nad krajobrazem zaczęły górować ogromne krzyże na tle mrocznego nieba. Te obrazy były przerażające i zarazem piękne. Nie dość, że stałam się właścicielką sporej liczby dzieł Eda, ale uważałam, że każdy jego obraz powinien należeć do mnie. Gdy uprzytomniłam sobie z zażenowaniem, ile już nabyłam, zaczęłam kupować je dla znajomych. Inna malarka z ośrodka zawsze rysowała trzy kobiety - ołówkiem lub kolorowymi kredkami rysowała trzy kobiety o różnych twarzach i w różnych strojach - zawsze trzy kobiety. Wybrałam jeden rysunek, potem stwierdziłam, że mi to nie wystarcza. Jej zamiarem było pokazanie trzech kobiet w wielu wersjach, a ja pragnęłam, by moje doświadczenie sztuki tej artystki było bliskie jej doświadczeniu. Kupiłam sześć wspaniałych rysunków.

Nie od razu uświadomiłam sobie, że właśnie otworzył się przede mną nowy świat. Z zamieszczonego w „New York Timesie” artykułu o Billu Richardsie i jego pracowni w Northeast Center dowiedziałam się, że w innych ośrodkach też prowadzone są zajęcia plastyczne i że tego rodzaju twórczości nadano nazwę „sztuka marginesu”. Znalazłam książki, które powiedziały mi więcej. Ogólnie rzecz ujmując, określenie „sztuka marginesu” obejmuje twórczość artystów samouków, którzy często żyją na marginesie społeczeństwa; pierwotnie dotyczyło twórczości osób obłąkanych, dostrzeżonej w Europie u schyłku dziewiętnastego wieku i sławionej w pierwszej połowie dwudziestego wieku przez Jeana Dubuffeta. Dubuffet nadał jej nazwę *art brut*, czyli sztuka surowa.

Opowiadał się za nią, uważając, że jest autentyczna, niezanieczyszczona oczekiwaniami społecznymi czy ograniczeniami kulturowymi. Wywodziła się bezpośrednio z psychiki i nie przechodziła przez żaden filtr. Tworzyli ją ludzie obłąkani - kobiety i mężczyźni w szpitalach psychiatrycznych - wykorzystując materiały, które mieli pod ręką. Jeden mężczyzna robił rzeźby z przezutego chleba; inny, Adolf Wölfli, dostawał co poniedziałek ołówek i dwie czyste kartki papieru gazetowego, po czym pracował bez opamiętania, aż pozostała mu odrobina grafitu między czubkami paznokci. Jego rysunki są skomplikowane, lecz z każdego spogląda ta sama dobrodusznna twarz.

Słowo „obłąkany” zawsze mnie przerażało. Miałam ciocię, która cierpiała na schizofrenię w czasach, gdy o takich rzeczach nie mówiło się otwarcie, gdy chory nie znajdował zrozumienia, a tym bardziej pomocy - jej choroba budziła we mnie śmiertelny strach. Byłam raz u niej, kiedy zaczęła słyszeć głosy i mieć przywidzenia, nie mogłam patrzeć na jej zrozpaczone oblicze, gdy starała się zachować pozory normalności. Ten wyraz twarzy wydał mi się znajomy. Bałam się, że któregoś dnia i ja zwariuję.

Ciocia była filologiem klasycznym. Miała w domu piękne antyczne przedmioty - małe ptaszki z gliny, tak lekkie, że ledwie czuło się je na dłoni, wspaniałe stare monety, figurki koni, smukłe posążki z miedzi, pochodzące z etruskich sarkofagów. Dawała nam prezenty: dostałam od niej pierścionek z kameą przedstawiającą Bachusa z winnymi gronami we włosach, a jedna z moich sióstr otrzymała broszkę z głową Meduzy. Po latach, gdy siostra zbliżała się do pięćdziesiątki, wspomniała, że od pewnego czasu ma złą passę, co być może jest związane z Meduzą.

Chciała się pozbyć broszki. zaproponowałam, że ją wezmę; dam sobie radę, uwielbiam starocie. Więc mi ją przysłała. Czy aż tak źle może oddziaływać? - zadawałam sobie pytanie.

Oddziaływała bardzo źle. Nie dało się patrzeć na udręczoną twarz Meduzy. Pokazałam broszkę znajomej, która położyła ją na dłoni, i mówiąc: „Wydziela ciepło”, natychmiast ją zwróciła. Złe dzudzu. Nie chciałam jej sprzedać - pieniądze, które bym za nią uzyskała, też mogły przynieść pecha - wobec tego zapakowałam ją starannie i wysłałam do Metropolitalnego Muzeum Sztuki, nie podając nazwiska nadawcy. Znajomi uważali, że zwariowałam, ale oni nie widzieli tej twarzy.

Ciocia lubiła rysować. Pamiętam, jak pewnego lata wszystkie moje siostry i ja miałyśmy pozować do portretów. Robiłam to z ogromną niechęcią, gdyż spojrzenie cioci wprawiało mnie w niepokój. Wiele bym dała, żeby zobaczyć teraz te rysunki - jak ona nas przedstawiła? - ale ślad po nich zaginął. Innym razem szkicowała ołówkiem kościste twarze - więcej cienia niż kreski - o ostro zarysowanych kościach policzkowych i wrogich spojrzeniach. Nie podobały mi się, ale byłam nimi zafascynowana. Ze wszystkich rysunków, które zrobiła w swym burzliwym życiu, zachowały się trzy i są u mnie. Patrzę teraz na rysunki Adolfa Wölfliego, przez większość życia przebywającego w zakładzie; jest we mnie pokora i respekt. Biedna ciocia. Wskoczyła przez okno ponad trzydzieści lat temu. Wyjmuję jej rysunki z pudełka i oglądam od nowa.

Mam ogromne luki w wykształceniu. Przerwałam studia w college'u w marcu na pierwszym roku i nigdy ich nie podjęłam. Nie czytałam *Moby*

Dicka, a teraz pewnie jest już na to za późno. O historii muzyki i o historii sztuki nie wiem nic prócz tego, co przeniknęło do mnie drogą osmozy. Ale sztuka marginesu jest zamkniętą całością. Nie muszę posiadać wiedzy o impresjonistach czy ekspresjonistach abstrakcyjnych. Nie muszę umieszczać tej sztuki w perspektywie historycznej. Nie czuję, że jestem ignorantką. Co więcej, paradoks nad paradoksami, nie czuję, że jestem na marginesie - aby się zakochać, potrzebuję jedynie pary oczu.

Moja kolekcja zaczęła się powiększać. W galerii kupiłam konia na krótkich nogach, narysowanego kredką na kawałku starego kartonu, ze słowami „Jezus płakał” w lewym dolnym rogu - jeden z czterech rysunków, które kiedyś wisiały w wiejskiej chacie, w sypialni kobiety dzierzawiącej ziemię. Koń spodobał mi się od razu, a gdy się dowiedziałam, skąd pochodzi, wszystko nabrało indywidualnego charakteru. Wyobraziłam sobie tę kobietę, tęgą, zmęczoną. Zastanawiałam się, jak wygląda jej chata, czy jest duża, z czego jest zrobione łóżko. Czy w domu jest elektryczność, może świece albo lampa naftowa? Przed oczami stanęła mi zapadająca się frontowa weranda, w środku wisiał koc, który oddzielał sypialnię od reszty pomieszczenia, zaraz przypomniałam sobie jednak o czterech rysunkach i pomyślałam o czterech ścianach. Zastanawiałam się, czy jest tam drewniana podłoga, czy klepisko, i wtedy - nie mogąc wyczarować nic prócz ubóstwa - znowu spojrzałam na wyrazy „Jezus płakał”, wykaligrafowane pięknym staroświeckim pismem. I uświadomiłam sobie, że nic nie wiem.

Od mężczyzny z Northeast Center kupiłam słowa, które ciągnęły się od góry do dołu strony, w trzech kolumnach: pełne udręki propozycje małżeńskie; kupiłam stronicę pokrytą literami alfabetu, napisanymi

ołówkiem przez mężczyznę, który bał się, że straci umiejętność pisania. Wśród liter są cyfry i coś, co wygląda jak naszkicowane domy, oraz pochyłe kreski, które przypominają mi płoty przeciwniegiowe pochylające się pod naporem wyimaginowanego wiatru. Kupiłam przesłanie człowieka cierpiącego na zespół lewostronnego pomijania - na skutek urazu mózgu wszystko po lewej stronie jest dla niego niewidoczne. Wyrazy ciągną się od połowy kartki do prawej krawędzi strony, na nich są nadpisywane następne, aż całość staje się czarną, nieczytelną bazgraniną, jedynym zrozumiałym fragmentem są pierwsze dwa słowa: WYBACZ MI.

- Popatrz na to! A popatrz na to!

Łapałam każdego, kto mnie odwiedził, i oprowadzałam po domu, czy chciał, czy nie.

- To zrobiła Sybil Gibson, zaczęła malować w wieku pięćdziesięciu kilku lat, z początku chciała mieć ozdobny papier pakunkowy własnej roboty, a potem nie mogła przestać.

Albo:

- To zrobił robotnik budowlany, nie miał pracy i wylądował na ulicy, wszedł do kościoła, a tam dali mu farby, pędzle i papier, zaczął malować, no i patrzcie tylko!

Goście zazwyczaj znosili to cierpliwie, uśmiechali się i patrzyli obojętnym wzrokiem.

Pewnego razu poszłam z siostrą na Targi Sztuki Marginesu, które odbywają się co rok w Puck Building w Nowym Jorku; dokoła zobaczyłam ludzi z takim samym jak u mnie wyrazem szaleńczego podniecenia na twarzach. Kupiłam obraz przedstawiający czarno - białe

wieloryby w granatowym morzu. Potem kupiłam następny, ukazywał zarys postaci ludzkiej, której wypływał z genitaliów strumień liter. I jeszcze jeden, był na nim bukiet kwiatów; gdy zaniiosłam malowidło do domu i powiesiłam na ścianie, miałam wrażenie, że widzę dwa duże fioletowe paluchy u nóg, więc niedługo później dzieło trafiło do szafy. Na rogu Broadwayu i Sto Jedenastej Ulicy nabyłam cztery obrazy, na których statek kosmiczny wisiał nad Statuą Wolności. Kolorystyka jest żywa - fioleto, czernie, niebieskości, żółcie, czerwienie. To, jak spodek utrzymuje się w powietrzu, kojarzy mi się ze zwiastowaniem, tylko że w tym wypadku miejsce archanioła Gabriela zajmuje statek kosmiczny, a jako Maria Panna pojawia się Statua Wolności. O ile dobrze pamiętam, twórca napomknął, że został uprowadzony, choć być może sama to wymyśliłam.

Kupowałam prace artystów, którzy malowali kwiaty na papierowych torbach, autobusy na kawałkach drewna, gospodarstwa wiejskie na sześciu szybach starego okna we framudze. Kupowałam przerażające gryzmoły schizofrenika. Kupowałam dzieła słynnych artystów z marginesu, na przykład Thorntona Diala, Sybil Gibson, Justina McCarthy'ego i Clementine Hunter. Kupowałam anonimową twórczość z zakładów psychiatrycznych i z ośrodków odwykowych dla narkomanów, sygnowaną tylko pierwszym imieniem. Kupowałam na ulicach, w galeriach, na wielkich pokazach sztuki marginesu i bezpośrednio od artystów. Nad biurkiem powiesiłam pracę J.B. Murry'ego, niepiśmiennego proroka z Południa, który właściwymi sobie hieroglifami pisał „przekaz od ducha” i potem czytał na głos, patrząc na dzieło przez szklanekę z wodą źródlaną, zgodnie ze starym afrykańskim zwyczajem. Z miejsca, gdzie siedzę, ta praca wygląda jak mapa topograficzna. Widzę łańcuchy górskie, jeziora,

rzeki; każdy region jest obrysowany srebrnym lub czarnym tuszem. Patrząc na nią cały czas.

Zacząłam pisać, dopiero gdy miałam czterdzieści siedem lat. Zawsze chciałam być pisarką, ale wydawało mi się, że trzeba mieć dyplom albo należeć do klubu, a mnie nikt nie zaproponował członkostwa. Myślałam, że uzdolnienia literackie to dar od Boga; myślałam, że trzeba mieć do powiedzenia coś konkretnego, coś ważnego; myślałam, że wszystko należy mieć od początku rozplanowane. Minęło wiele czasu, nim uświadomiłam sobie, że początki wcale nie muszą być udane, istotne jest to, by zacząć. Chwycić za pióro, pozwolić sobie pisać źle i popełniać błędy, przestać patrzeć sobie przez ramię. Ty idiotko, mówiłam w duchu po napisaniu połowy strony, skąd to przekonanie, że potrafisz pisać? - po czym mięłam kartkę i wyrzucałam do kosza. Aż pewnego dnia jakaś kobieta opowiedziała mi o dziewczynie, która uczestniczyła w pogrzebie swojej matki. Ta historia przykuła moją uwagę, nie mogłam się od niej uwolnić. Próbowałam ją napisać i nie wychodziło mi, lecz zamiast zrezygnować (idiotko, rzuć to), zaczęłam od nowa, pod innym kątem. Uprzytomniłam sobie, że naśladowuję styl kobiety, od której usłyszałam tę opowieść, ale w mojej wersji historia nie brzmiała prawdziwie. Postanowiłam, że to będzie mój pogrzeb, i wyobraziłam sobie jedną z moich córek w roli narratorki. Po trzech godzinach miałam trzy kartki pokryte tekstem, który mi się rzeczywiście podobał. To był dobry początek. Pierwszy raz czułam, że historia jest ważniejsza od mojego ego. Przemądrzały głos, który mówił mi, że bym nie zadawała sobie trudu, stracił nade mną władzę.

Właśnie ten głos muszę odpędzać od siebie każdego ranka. Siadam przy biurku, patrzę na mapę J.B. Murry'ego, na konia narysowanego kredką, na czerwone domy, i staram się porzucić niepotrzebne myśli - to znaczy prawie wszystkie - żeby móc rozglądać się wokoło tak, jakbym robiła to po raz pierwszy. Czasem przychodzi mi do głowy, że czekam, aż się wyklaruje woda w akwarium. Trudno to wyjaśnić i trudno zrobić, ale jednego jestem pewna: dokądkolwiek muszę się cofnąć, tam są już ci artyści.

Zanim się tu przeprowadziłam i zaczęłam przywozić Richa do domu, co tydzień chodziliśmy do pracowni Billa. Mieści się w wysokim na dwa piętra atrium z przeszklonym dachem. W gorące dni Bill rozkładał coś w rodzaju namiotu albo markizy nad długimi stołami do pracy. Gdy padał deszcz, nie pozostawało nic innego, jak rzucić wszystko i zachwycać się dźwiękiem. Nie mogłam się doczekać, kiedy znowu poczuję panującą tam energię; uwielbiałam patrzeć, jak ludzie ciężko pracują. Ani przedtem, ani potem nie wiedziałam takiej różnorodności barw w jednym miejscu. Uczestnicy zajęć mają albo uszkodzenia mózgu, albo urazy rdzenia kręgowego na skutek wypadku, udaru lub choroby zwyrodnieniowej. Część siedzi przy długim stole, inni są na wózkach inwalidzkich i pracują na specjalnych sztalugach ustawionych pod kątem; pewien mężczyzna, który był chory na paraplegię i posługiwał się przymocowanym do głowy pędzlem, namalował niezwykle piękny zielony labirynt z sylwetek biegnących saren. Bill był wszędzie naraz, dokładał farb na paletach, przynosił nowe ołówki, dodawał otuchy, twórczość artystyczną traktował tak poważnie, że jego nastawienie udzielało się artystom. Nie uczył

plastyki, lecz stwarzał atmosferę, w której ludzie dawali z siebie wszystko. Bill potrafi przekonać ludzi, że nie ma rzeczy niemożliwych. Ma dar, osobowość.

Rich trochę tam rysował, czasami malował. Pierwsza była kaczka - jak zawsze, gdy niedbale bazgrał na kartce papieru. „Może jeszcze parę?”, zaproponował Bill. Rich zgodził się uprzejmie, narysował drugą i trzecią. A potem jego ręka jakby nabrała swobody, zaczął wodzić nią po kartce coraz zamaszyściej, tworzyć wolne formy.

Gdy Rich rysował, wpadałam w podniecenie.

- Co to? - pytałam, patrząc na zakreskowany w kratkę papier i coś, co wyglądało jak mosty, biegnące postacie.

- To są dwaj czarodzieje, a tam mewy i żółwie, które chronią swoje siedliska.

Narysował elegancko wyglądającego mężczyznę w słomkowym kapeluszu, narysował żołnierzy. Narysował wyspę z dwiema palmami uginającymi się na wietrze, potem jakieś inne dziwne rośliny. Na drzewie wisiała tabliczka „Witajcie w domu, Abby i Rich”, a obok, w powietrzu, były słowa „Witajcie w domu, dwoje obieżyświatów”. Uwielbiam ten rysunek. Tylko że serce mi pęka, gdy na niego patrzę.

Pewnego popołudnia Rich rysował jakby postać leżącą w kręgu malutkich wieżowców. Skojarzyłam sobie to z wypadkiem, z tym, jak on sam leżał na ulicy.

- Co rysujesz? - spytałam ze ściśniętym gardłem.

- Zegar - odparł, po czym narysował drugi taki rysunek, z cyframi.

Później powiedział mi, że tego ranka rozmawiał ze swoją matką.

- Nie wiem, czy ona coś z tego pojmuje - rzekł.

- Z czego? - zapytałam, nie wspominając, że jego matka nie żyje od wielu lat. Może z nią rozmawiał. Niczego nie jestem już pewna.

- Mieszkasz z mężczyzną sześćdziesiąt dwa lata, a tu pewnego dnia on się nie pojawia. Skwitowałabyś to słowami: „No cóż”? - Westchnął.

Nie umiałam mu odpowiedzieć.

Zdarzało się, że Rich nie miał ochoty iść do pracowni; bywało też, że gdy już tam poszedł, nie miał ochoty rysować. Kładliśmy przed nim czysty papier, ołówki i flamastry, a on raz sięgał po nie, raz nie. Niekiedy, chcąc go zachęcić, brałam kredkę albo marker, ale moje starania, żeby cokolwiek choć nagryzmolić, były żenująco nieporadne. Tylko udawałam. Swobodnie operuję słowami, czuję się pewnie z piórem i zeszytem, nawet jeśli nie napiszę nic prócz: masło, cukier, mleko, jajka. Rozglądałam się po pracowni i chłonełam energię tego miejsca, pragnąc zabrać ją ze sobą do domu. Któregoś popołudnia siedziałam przy stole naprzeciwko kobiety o krótkich brązowych włosach. Wpatrywała się w pustą kartkę papieru, miała przed sobą pudełko ze świeżo zatemperowanymi kredkami.

- Co chciałaby pani narysować? - spytałam.

Kobieta milczała, więc powtórzyłam pytanie i znowu zapadła cisza.

- Twarz - rzekła w końcu, ale nie zabrała się do rysowania.

- Może zaczniesz od oczu - zaproponowałam.

Wzięła z pudełka czerwonawobrazową kredkę i starannie narysowała falistą linię. Potem podniosła wzrok. „Nos”, podpowiedziałam - znowu falista linia. „Usta”. Wkrótce na papierze pojawiło się kilka drżących linii. Nikt by się pewnie nie domyślił, że to ma być wizerunek twarzy, ale bez wątplenia coś się działo, słychać było ciche mruczenie.

W Northeast Center mieszkał młody mężczyzna, który przybył tam przepełniony złością, nastawiony bojowo, gotów ni stąd, ni zowąd zamachnąć się na człowieka. Zaczął przychodzić do pracowni i zajął się malowaniem. Na oczach Billa stał się artystą. Z czasem przestał się miotać w atakach wściekłości. Wrócił do równowagi na tyle, że mógł zamieszkać w domu prowadzonym samodzielnie przez ludzi, którzy niegdyś mieli podobne zaburzenia jak on. Przed wyjazdem z ośrodka powiedział do Billa: „A w ogóle to czym jest sztuka, jeśli nie możliwością daną człowiekowi, by nie walił pięścią w ścianę?”.

BIEGANIE

Codziennie wymieniam pieniądze na towary. Kładę banknoty i monety na dłoni kasjerki, po czym zabieram mleko i chleb. Czasem nie biorę papierowej torby, tylko pakuję sok pomarańczowy do własnej torebki. W jednym ze sklepów mam dziesięć procent rabatu dla osób od sześćdziesięciu trzech lat wzwyż. Tam kupuję drogą oliwę z oliwek, moją ulubioną. Idę do Liberty House i napotykam przyjaciółki (niełatwo jest robić zakupy, bo zawsze dzielimy się ostatnimi wiadomościami), ale w końcu znajduję jakieś ciekawe odzienie w dużym rozmiarze, wręczam kartę, podpisuję zwijający się świstek i wychodzę z torbą, która zawiera całą gamę możliwości. („W robieniu zakupów wyraża się nadzieja, mamo”, słowa córki stały się moją mantrą). Czasami decyduję się na nową szminkę i inny niż dotychczas szampon albo przez dziesięć minut nie odrywam wzroku od tych wszystkich, jakże interesujących tubek pasty do zębów. Potem jadę samochodem do szkaradnego centrum handlowego z widokiem na góry, żeby kupić mężowi buty. Nosi obuwie w rozmiarze 47, chyba największym możliwym, do tego szerokie.

- Proszę się udać do działu męskiego - mówi sprzedawczyni, osłupiała ze zgrozy.

Przychodzi mi na myśl, że ona pewnie stara się, jak może, by nie spojrzeć w dół na moje stopy.

- Te sprzedają się najlepiej - oznajmia młody człowiek, wskazując z dumą regał pełen cichobiegów firmy New Balance.

Teraz chyba nie mówi się „cichobiegi”, ale ja jestem za stara, by zawracać sobie głowę nowoczesnymi słówkami.

- Sprawdzają się w każdej sytuacji - dodaje usłużnie. - Do chodzenia,

do joggingu i do biegania.

Mój mąż będzie w nich powłóczył nogami. Ale lepsze to niż nic. W jego oczach te buty będą wyglądały znajomo, podniosą go na duchu, sprawią, że poczuje się tak, jakby spędził albo zamierzał spędzić trochę czasu na bieganiu. Wróciwszy do domu, wyjmuję je z pudełka i wdycham dziwny, chemiczny zapach. „Nie ma to jak nowe buty do biegania”, mawiał Rich, zawiązując sznurowadła. Pozwalam sobie na chwilę sięgnąć pamięcią wstecz - widzę, jak Rich przygotowuje się do treningu, pochyła sztywno tułów, robiąc rozgrzewkę. Gdy wracał z biegania, zawsze czułam od niego zapach octu.

Bywa, że kupuję w Bread Alone cappuccino i pięć ciasteczek czekoladowych. Jeżeli jest czwartek, staram się nie skubnąć ciastka, bo zjem wszystkie, a są przeznaczone dla Richa - ciasteczka czekoladowe lubi najbardziej. Albo siedzę w czerwonym fotelu i zastanawiam się, czy nie sprawić sobie w salonie żaluzji, a jeśli tak, to z wąskimi czy szerokimi listwami. Jeżeli kupię je teraz, zaoszczędzę sto pięćdziesiąt dolarów na montażu. Ale nie jadę ich kupić. Zapadam w drzemkę, potem wychodzę z domu po kurze udka, anchois i czerwone wino. Kupuję również mydło lawendowe. Oraz włóczkę i różnokolorowe chipsy.

Rich trenował biegi. Dla przyjemności. Dla jasności umysłu. Gdy przeszedł na emeryturę, bieganie nadawało rytm jego codziennemu życiu. Wstawał, pił kawę, jadł płatki kukurydziane, czytał gazetę, trawił, wkładał strój treningowy (wiekowy T - shirt i nowe, eleganckie szorty), rozciągał mięśnie (o tyle, o ile), rzucał uwagę o pogodzie sprzyjającej lub niesprzyjającej bieganiu, biegał, pił gatorade* i jadł pączka, płukał strój treningowy w umywalce, brał prysznic, wieszał strój treningowy na drążku

z kotarą prysznicową, dzielił się z żoną wrażeniami z treningu, pił jeszcze trochę gatorade, pisał dziennik, kładł się na godzinę, wyczerpany i szczęśliwy.

Bieganie nadawało życiu Richa porządek.

Rich nadaje porządek mojemu życiu. Czwartki upływają niezmiennie tydzień w tydzień. Wstaję, piję kawę, trzymam się z dala od gazety, odkurzam dywaniki, żeby wnuczka Richa, Nora, nie znalazła paskudztw roznoszonych przez psy. Piekę coś na deser albo wsadzam kurczaka do piekarnika, zależnie od tego, jaka jest pogoda i jaki mam nastrój. Sprzątam kuchnię, zamykam drzwi do sypialni, jeżeli na podłodze są rzeczy do prania, spędzam psy w jedno miejsce, a gdy są na dworze, zaganiam je do domu. Jadę do Northeast Center for Special Care. Staram się zaparkować samochód przy wejściu, żeby Rich nie musiał daleko iść. Wpisuję się do księgi w recepcji, dostaję plakietkę z napisem „Rodzina” i przyczepiam ją do torebki. Przechodzę obok rysunku, na którym jest dom i słowa: „Zmieniam adres na Skrytka pocztowa 1325 w Glendale”, wracam i czytam jeszcze raz.

Jadę ogromną windą na pierwsze piętro i szukam Richa. Dotychczas ciągle spacerował, ale ostatnio chodzi niepewnym, ciężkim krokiem i trudno mu wstać. Idę korytarzem w stronę jego pokoju, biorę głęboki wdech, potem pukam i otwieram drzwi. Jest - siedzi w fotelu, z gazetą na kolanach. Ogarnia mnie radość, a zarazem trwoga. Nagle jawi mi się życie, jakie będę wiodła bez Richa. Wygląda nie jak opadanie bez siatki asekuracyjnej w przestrzeni, lecz jak opadanie ze spadochronem w przestrzeni, gdzie nie ma planety, na której można wylądować.

Dawno temu kupiłam sobie drogie buty do biegania i przez krótki

czas (dwa dni) biegałam z Richem - ściśle mówiąc, ja starałam się biec, a on truchtał obok mnie. Po niecałych dwóch okrążeniach kwartału leciałam z nóg. To była niezła zabawa. Nie pamiętam, dlaczego przestaliśmy - może zrobiło się zbyt gorąco. Rich przez trzydzieści lat prowadził dziennik, w którym robił notatki z treningów. Zapisywał, jaka była pogoda i pora dnia, dokąd biegł i jak daleko. Jeżeli miał dobrą kondycję, robił o tym wzmiankę; jeżeli opadł z sił, notował, kiedy to się stało. O innych sprawach wspominał rzadko - nie pisał pamiętników - ale ósmego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, po uwagach na temat pogody i stanów fizycznych, pojawił się dopisek: „Jutro ślub z Abby”.

PRZESZŁOŚĆ, TERAŹNIEJSZOŚĆ, PRZYSZŁOŚĆ

- Jak tam twoje sprawy uczuciowe? - ZAPYTAŁ MNIE KTOŚ zimą zeszłego roku.

Ostatni raz widziałam tę osobę, gdy byliśmy w ósmej klasie. Poszliśmy na premierę *Love Me Tender* w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym; to była jakby randka i, jeśli dobrze pamiętam, zawiozła nas do kina jego mama. Gdy przygasły światła, pochylił się ku mnie, mówiąc: „Chyba teraz powinienem zacząć szeptać ci do ucha słodkie słówka”. Po raz pierwszy usłyszałam wyrażenie „słodkie słówka” i oniemiałam z zachwytu. Dwadzieścia minut później, gdy Elvis pojawił się jako kropka na polu, cała widownia zawyła.

- Jak tam twoje sprawy uczuciowe?

Sądzę, że pytanie było uzasadnione.

- Jestem mężatką - odparłam, nie dodając z irytacją: „koleś”, bo to chyba nie było pytanie z podtekstem.

Cokolwiek rzeczywiście miał na myśli, nie drażył tematu; sprawa jednak wypłynęła, więc musiałam ją przemyśleć. Czy on przypuszczał, że doskwiera mi samotność? Czy uważał, że powinnam bywać w świecie i szukać innego partnera? Nawet gdybym miała na to ochotę - a nie mam - nie zniosłabym całej tej gadaniny. W moim odczuciu przeszłość nie jest już tak interesująca jak kiedyś, gdy byłam młoda, a niewątpliwie stałaby się tematem rozmów. Niczego nie chcę przeżywać ponownie - swej młodości przede wszystkim - a co się tyczy tego, co będzie, nie widzę powodu do pośpiechu. Obserwuję swoje psy. Wszystko robią z oddaniem; nawet śpią zapamiętane. Nie czekają na lepsze jutro ani nie wracają do dni swej chwały. Biorąc z nich przykład, staram się żyć teraźniejszością. Nie

ugrzeżłam tu na mieliźnie, wiem, skąd przyszłam, mogę ze szczegółami przywołać częste niegdyś miejsca spotkań, a także minione stany umysłu.

Przyszłość wchłania jednak moje dawne dzielnice miasta. Tam, gdzie kiedyś było widać niebo na cztery strony świata, znajduje się wielki, nieforemny budynek mieszkalny, natomiast po drugiej stronie ulicy - mam na myśli Broadway i Sto Dziesiątą - jest ogromny dół, z którego wyrasta kolejny blok. Nie ma już West Side Market, Columbia Bagel ani Dynasty Restaurant. Nie ma już Ideal Bookstore ani tego małego biura, skąd wysyłało się paczki za pośrednictwem UPS. Nadal pamiętam czasy, gdy w odległości dwóch przecznic mieliśmy trzy stragany owocowo - - warzywne, zajmujące sporą część trotuaru. Teraz mamy Gristede's z hermetyczną halą sklepową (jak to się dzieje, że trzymane pod dachem owoce mają taką lśniącą skórkę?) i nasze oko nie natknie się na barwną plamę, która byłaby jadalna i znajdowała się na świeżym powietrzu.

W latach cielejących często odwiedzałam West Side Market i od dawna nieistniejący Cathedral Market, flirtowałam z rzeźnikami, sprzedawcami serów i kierownikiem działu sprzedaży. Będąc w kwiecie wieku, krążyłam pośród pomarańczy, bakłażanów, selerów, jabłek, karczochów, leżących w pudełkach i ułożonych w piramidy na ulicznych stoiskach. Miałam wielbiciela - ten starszy pan nosił sombrero i aksamitkę zawiązaną pod szyją. Odznaczał się wysokim wzrostem, często popijał coś z brązowej papierowej torebki i mamrotał: „O śliczna damo”, gdy mijaliśmy się na chodniku. W dni, gdy nie wyglądałam korzystnie, przechodziłam na drugą stronę ulicy, żeby nie zmuszał się do mówienia: „O śliczna damo”, skoro w istocie byłam smutną damą, zmęczoną damą

albo w ogóle nie przypominałam damy. Ów pan zachowywał się z galanterią. Teraz sprawa się uprościła - jestem damą w średnim wieku, nikt na mnie nie patrzy, nikt mnie nie zauważa. Wychodzę na dwór bez szminki, jeśli tak mi się podoba, i zawsze mam na sobie wygodne ubranie. Takie życie jest mniej urozmaicone, ale gdy pojawia się coś pięknego, kobiecie w średnim wieku wolno się pogapić.

Pewne małżeństwo prowadziło drogerię na Broadwayu, po stronie zachodniej, między ulicami Sto Dziesiątą a Sto Jedenastą. Woleliśmy zaopatrywać się w tym małym, staroświeckim sklepiku niż w sklepie dyskontowym, który został otwarty po drugiej stronie ulicy. Właściciele wywodzili się z Europy Wschodniej i mieli wytatuowane numery na przedramionach. Co wieczór, po zamknięciu sklepu, szli wolnym krokiem ulicą - ona miała rumiane policzki, srebrne włosy upięte pięknymi grzebykami. W moich wspomnieniach trzyma go pod rękę. Byli skromnymi, uprzejmymi ludźmi; mąż pochylał się w lekkim ukłonie, gdy spotykały się nasze spojrzenia, a żona, rozpoznając nas, uśmiechała się i witała skinieniem głowy. Wyprowadzali na spacer starego psa. Drogeria została zamknięta chyba ze dwadzieścia pięć lat temu; nie pamiętam, co tam otworzono ani gdzie dokładnie mieściła się na tym odcinku ulicy, natomiast o takim małżeństwie marzyłam, o związku, w którym dwoje ludzi czuje się tak dobrze, że nawet nie muszą rozmawiać.

Rich i ja nie prowadzimy rozmów; wymieniamy ciekawostki o tym, jak spaliśmy, co jedliśmy na śniadanie. Jesteśmy odarci ze wszystkiego do rdzenia naszej istoty - nie ma awantur, ironii, podtekstów. Od czasu do czasu Rich mówi coś, co zapiera mi dech w piersiach. „Czuję się jak namiot, który chce być latawcem i szarpie za kołki”, powiedział ni stąd, ni

zowąd któregoś dnia. Był w szpitalu, leżał w łóżku, ale oczy błyszczały mu radośnie. W pewnym sensie jesteśmy po prostu starym małżeństwem, które niespodziewanie i przedwcześnie znalazło się w stadium niemej komunikacji. Mam kumpla, który w odległych czasach słał walory ciepła ludzkiego ciała; wówczas mnie to rozpałało, ale teraz go rozumiem. Siedzimy z Richem i trzymamy się za ręce; jesteśmy ciepłokrwistymi stworzeniami w cichym miejscu; takie porozumiewanie się w zupełności nam wystarcza.

Cały czas muszę jednak powstrzymać się, żeby nie tworzyć wspomnień wartych oprawienia w ramki, nie pielęgnować w pamięci najszcześniejszych chwil naszego życia. Rich jest niespokojny. Czasem nie może usiedzieć na miejscu. Ma zaburzoną równowagę i trzeba pomagać mu wstać. Razem chodzimy po domu. Chcesz filiżankę kawy? A wody? Może chcesz pójść do łazienki? Nie i nie, i nie. Rich po prostu musi się przemieszczać. Zadaję sobie pytanie: Co człowiekowi z tego, że ma cel?

Niedawno ktoś spytał o moje lęki - co budzi we mnie największe obawy. Nie potrafiłam niczego wymienić. Żeby się czegoś lękać, trzeba móc wyobrazić sobie przyszłość, a ja przestałam myśleć o przyszłości. Ona już nie jest moim celem. Oczywiście, mogę wymienić sytuacje, w których nie chcę się znaleźć. Nie chcę złapać gumy czy zabłądzić podczas jazdy nocą, czy być pożarta przez dzikie zwierzęta. Nie chcę stracić rozumu lub źródła utrzymania. Nie chcę zapomnieć, gdzie zaparkowałam samochód, jak mają na imię moje dzieci, ale jeśli do tego dojdzie, skoczę z mostu, jak mawiała moja stara przyjaciółka. Niedawno wpisałam w Google'u: „płyn w uchu wewnętrznym”; przez chwilę zastanawiałam się

nad mało znanymi przyczynami głuchoty, zaniepokojona trzaskami w lewym uchu, ale to minęło - niepokój i trzaski - po sushi deluxe z Claudette w Wok and Roli w Woodstock. Co się tyczy lęków, w ogóle ich nie mam.

- Masz - twierdzi moja siostra Judy.
- Nie mam - upieram się.
- Więc dlaczego nie chcesz wsiąść do windy u mnie w domu?
- To jest fobia - wyjaśniam.
- Fobia znaczy strach! - triumfuje moja siostra. - Nie znasz greki?

Może to wszystko kwestia semantyki. Gdybym miała zdefiniować strach, powiedziałabym: nieodłączny towarzysz, wierny druh, jest przy tobie jak zegarek, przewija się nieustannie. Przestałam tak żyć. Fakt, że mam sześćdziesiąt trzy lata jakoś się z tym wiąże. Dawniej bałam się zestarzeć - nie chodzi o bóle czy niedomagania, ani wyrzucanie sobie: Co ja zrobiłam ze swoim życiem! lub niebezpieczeństwo nabawienia się choroby, nic z tych rzeczy. Po prostu nie potrafiłam wyobrazić sobie, jakie będzie moje życie, gdy stracę urodę.

Dopisało mi szczęście. Poślubiłam Richa, zbliżając się do pięćdziesiątki, i wkroczyłam w wiek średni łagodnie, bo żyłam z mężczyzną, który aprobował mój wygląd. Trzy lata po ślubie, gdy biadoliłam, ile przybyło mi na wadze, powiedział: „Nie przejmuj się. Kocham wszystko, co ci przybyło. Tyj, ile chcesz”. Po zastanowieniu dodał uroczo: „Pod warunkiem że zdołasz wstać z fotela”.

Gdy poznaliśmy się z Richem, chcieliśmy wiedzieć o sobie wszystko

ze szczegółami. Przeszłość wciąż była świeża i pełna tropów - pozwalała zrozumieć i uporządkować życie każdego z nas, pokazać, kim się staliśmy. Rich słuchał opowieści o moich małżeństwach, rodzicach, siostrach i dzieciach, a ja słuchałam jego historii. Ja trzymałam jego stronę, on trzymał moją w odwiecznych sporach. Teraz, jak z upodobaniem mówi mój szwagier, przeszłość wylądowała na śmietniku.

Poza tym pasuje mi życie w pojedynkę. Gdy mam kaszel, nie zawsze chce mi się odpowiadać na pytanie, dlaczego kaszlę. Lubię pogрузić się w lekturze *Return to a Place Lit by a Glass of Milk*, a wtedy wolę nie słyszeć pytania, co czytam. Cenię sobie to, że mogę w spokoju myśleć o niczym. Nikt nie zgania moich psów z kanapy ani nie oburza się, że cała trójka ma brzydki zapach z pysków i puszcza bąki pod pościelą, gdy razem śpimy w nocy. Lubię przesuwać meble, więc cieszę się, że nie ma koło mnie nikogo, kto wolałby, żebym tego nie robiła, albo nie zauważył, że to zrobiłam. Czasem chętnie gotuję, a czasem nie. Czasem ścielę łóżko, a czasem nie. Czasem pielęgnuję ogród, a czasem nie. Zdarza się, że oglądam filmy do trzeciej nad ranem, i nikt o tym nie wie. Zdarza się, że oglądam filmy w wiosenny dzień, i nikt o tym nie wie. Nie wspomnę już o drzemkach.

Wracając do pytania. Jak tam moje życie uczuciowe? Rich jest moim mężem. Nasze małżeństwo trwa już siedemnaście lat. Zasypiamy razem na kanapie - z ufnością, wygodnie, w cieple. Tak wygląda moje życie uczuciowe, nie pragnę innego i mogę je mieć w każdej chwili. Muszę tylko pojechać do Northeast Center, zabrać męża i przywieźć go do domu. Ale tak się złożyło - oblodzony podjazd przed domem, potężne zawieje, powtarzające się przeziębienia - że przez dwa miesiące tej zimy nie

mogłam tam jechać. Co tydzień strach brał górę, bałam się, że nie mam dość siły, by pomóc Richowi wejść po schodach, że oboje poślizgniemy się i runiemy w śnieg. Gdy byłam młodsza, w ogóle się nie przewracałam, a gdyby nawet, co z tego? Teraz mam kruche kości, dolega mi to i owo, więc patrzę pod nogi. Bycie ostrożną jest dla mnie czymś nowym, dotychczas celowałam w pospiesznych działaniach. Obecnie postępuję uważnie. Idąc pod górę czy schodząc w dół, równie łatwo się potknąć. Lód ma czasem powierzchnię gładką, a czasem falistą. Na plastikowej torbie można się poślizgnąć. Duży pies może zwalić człowieka z nóg.

Gdy jesteśmy w Northeast Center, zazwyczaj spędzamy czas w pokoju. Rich ze swoją częścią gazety siedzi w fotelu, a ja ze swoją siedzę na jego łóżku. Od czasu do czasu zerkam kątem oka i widzę, że pochylił głowę, trzyma gazetę na kolanach. Na ścianie wisi parę obrazów przedstawiających kwiaty oraz kilka zdjęć Sally z dzieckiem. Łóżko jest przykryte narzutą w zieloną kratę. Są tam dwa kalendarze z ptakami, zahaczone na pinezkach; jeden jest otwarty na stronie z marcem, drugi - na stronie z majem. W pokoju znajduje się dracena i zielistka, a także piękna ciemnoniebieska hortensja, którą przyniosła Sally. Gdy Rich zaśnie, wszystko znika i widzę wyłącznie to, jak on wygląda.

Pierwszego dnia przyzwoitej pogody przywiozłam Richa do domu. Minęły śloty i ulewy, i znowu śloty, wreszcie niemal zupełnie zniknął lód, drogi pokryły się błotem. Podczas jazdy Rich milczał i nie reagował na widok charakterystycznych miejsc w okolicy, chyba nie rozpoznał domu. Czułam się tak, jakby nie było go tu od wieków, nie wiem, jak sam to odbierał. Nie wiem, jakie ma poczucie czasu. Lubię zabierać Richa do

domu. Ciągłe coś robimy - herbata za herbatą, lunch, znowu herbata, ciasteczka, zmywanie naczyń. Przy dobrej pogodzie chodzimy na spacery albo przesiadujemy w ogrodzie. Gdy trzeba obciąć Richowi paznokcie, robi to Sally. Ona podcina mu również włosy, kiedy zachodzi potrzeba. Jest staranna i cierpliwa. W zeszłym tygodniu trzeba było obciąć mu włosy. Tak, zgodził się na strzyżenie, ale później. Zawsze był uparty, lecz po wypadku jego upór wzmógł się wielokrotnie. Zapewnienia, że „zajmie to minutkę”, na nic się nie zdały. Pozostał nieugięty. „Nie teraz”, oznajmił po raz trzeci, już z nutą poirytowania. Wszyscy grzęźliśmy po kolana w tej przeciągającej się sytuacji. I wtedy Rich usiadł na krześle, a Sally położyła mu na ramiona ręcznik i zabrała się do roboty.

Po pięciu minutach strzyżenia Rich przysnął. Nora uważnie jadła płatki zbożowe Cheerios. Psy zachowywały się dla odmiany przyzwoicie. Sally czesała i strzygła, czesała i strzygła. Na twarzy Richa malował się spokój. W Northeast Center jest wolontariusz zatrudniony jako fryzjer męski, ale Rich przechodzi obok niego, nie zatrzymując się. Ciągłe jest na nogach, jak mówią mi pielęgniarki; gdy czuje się marnie, wędruje korytarzami, trzymając się poręczy na ścianach. Tydzień temu znalazłam go w korytarzu, gdy zmierzał do windy. Powiedział mi, że szuka „drzwi do”, „miejsca, gdzie”, a potem urwał, nie mogąc dokończyć zdania.

Po strzyżeniu Rich chciał pójść na górę. Niepokoją mnie te schody i dotychczas udawało mi się wyperswadować mu wchodzenie na piętro. Zazwyczaj nawet ich nie zauważa. Ale jeśli straciłby równowagę, a ja razem z nim? Jestem za słaba, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo, nawet nie mogę podnieść jego starej maszyny do pisania.

- Po co chcesz iść na górę? - zapytałam. - Tam nie ma nic ciekawego.

Wtedy zdołałam już zaprowadzić go do salonu i siedzieliśmy razem na kanapie. W kominku palił się ogień. Psy pochrapywały.

- Powinienem położyć swoje grzebienie i szczotki w nowym miejscu - odparł radośnie.

Kiedy byłam młoda, w przyszłości zawierało się wszystko, co dobre: stroje wieczorowe, piękna porcelana, srebra rodzinne, posady dorosłych ludzi. Przyszłość jawiła się jako szczególna kraina i chcieliśmy znaleźć się w niej jak najszybciej. Nie znaczy to, że nie cieszyliśmy się młodością, choć zdawaliśmy sobie sprawę z jej minusów. Miałam wtedy wrażenie - jak pamiętam - że omija mnie coś naprawdę dobrego, coś, co dzieje się gdzieś indziej. Czułam, że życie przechodzi obok, i ogarniało mnie zniecierpliwienie. Teraz w ogóle tego nie odczuwam. Gdy coś ciekawego dzieje się gdzieś indziej, to świetnie, Bogu dzięki, oby nikt do mnie nie zadzwonił. Czasem mogę się zdobyć jedynie na to, żeby wyczyścić zęby szczoteczką, pasta do zębów działa po prostu nazbyt pobudzająco.

W przyszłości czaiły się również rzeczy złe. Moje dzieci zmierzały wątlym stateczkiem ku przyszłości, a ja drżałam pełna obaw. Chciałam usunąć przeszkody, naprostować ich drogi, chciałam zmienić ich dzieciństwo. Zależało mi na tym, żeby zawsze mieć rację, żeby dzieci mnie słuchały, uczyły się na moich błędach i oszczędziły sobie wielu zmartwień. Teraz wiem, że mogę panować nad swoim językiem, nastrojami, apetytami, i na tym koniec. Nie mam wpływu na pogodę, ruch uliczny czy przychylność lub nieprzychylność losu. Nie sprawię, że będą się działy rzeczy dobre. Nie zdołam nikogo ochronić. Nie potrafię kontrolować przyszłości ani nadreperować przeszłości.

Co za ulga.

Przebywałam kiedyś na małej wyspie na środku ogromnego jeziora, wokół którego piętrzyły się góry. Gdy obserwowałam dok pływający, zerwał się wiatr, fale nadciągnęły nie wiadomo skąd. Wyobraziłam sobie, że leżę tam, dok zrywa się nagle z uwięzi i odpływa pchany wiatrem. Zastanawiałam się, czy mogłabym leżeć spokojnie i z przyjemnością poddawać się kołysaniu, ostatecznie nie byłabym jeszcze martwa, nie tonęłabym, tylko dawała się unosić tam, dokąd nie zamierzałam się udać. Na samą myśl wstrząsnęły mną dreszcze. A jednak jazda byłaby wspaniała, choć jej konsekwencje niepewne. Miałabym na to ochotę. W końcu tak się dzieje z nami wszystkimi, tylko nie zdajemy sobie z tego sprawy.

PRZEMIESZCZANIE SIĘ

1.

SIEDZĘ W ALEJCE Z ESEISTYKĄ W KSIĘGARNI BARNES & NOBLE i zmieniam skarpetki. Nie mam już mieszkania, więc urządzam sobie krótki postój tutaj, na rogu Broadwayu i Osiemdziesiątej Trzeciej. Po jednej stronie mam *Approaching Eye Level* Vivian Gornick, a po drugiej pełne wydanie *Prób* Montaigne'a. Zamierzam przejrzeć i jedno, i drugie, ale najpierw załatwiam sprawę pierwszorzędnej wagi. W drodze do miasta kupiłam sobie buty i od razu wyszłam w nich ze sklepu - są zielone w różowe kropki - skarpetki, które miałam na nogach, w ogóle do nich nie pasują. Zwykle bym się czymś takim nie przejmowała, ale ten widok razi oko.

Nadchodzi dwoje młodych ludzi; lokują się na końcu działu z beletrystyką, półtora metra ode mnie. Wydają dźwięki, które u ludzi starszych od nich można by uznać za tłumiony śmiech, chłopak namawia dziewczynę, żeby kupiła książkę zatytułowaną *Seks coś tam coś tam*, lecz ona nie ma na to ochoty. On jej nie puszcza ani nie przestaje jej czegoś tam robić, dopóki ona nie zgodzi się kupić książki ze słowem „seks” w tytule. Dziewczyna nadal się sprzeciwia.

Gdybym nie była zajęta, podsłuchiwałabym jak należy, a tak usiłuję ściągnąć z lewej nogi czarną skarpetkę w czerwone papryczki. Przychodząc tu, liczyłam na trochę prywatności. Niełatwo jest siedzieć na podłodze i zmieniać skarpetki, a przy tym nie wyglądać na osobę, która siedzi na podłodze i zmienia skarpetki, zwłaszcza gdy ma się sześćdziesiąt trzy lata. W końcu udaje mi się ściągnąć stare i włożyć nowe - krótkie, koloru różowego - po czym wsunąć na nogi obuwie. Teraz jestem zjawiskowo piękna od dołu. Młodzi coś do siebie szepczą, pewnie zasta-

nawiają się, czy to możliwe, że mam bzika. Nie patrzę w ich stronę. Otwieram Montaigne'a na chybił trafił. *O pijaństwie*, no tak. W tym przyjaznym salonie sieci Barnes & Noble można robić prawie wszystko, to tu jakiś klient przesiedział cały dzień na krześle, w niezmaconym spokoju, i po zamknięciu sklepu okazało się, że jest martwy.

Kilka godzin później siedzę na ławce przed sklepem z bajglami, na rogu Szóstej Alei i Trzynastej Ulicy, zajadam bajgla ekstra z serem kremowym, starając się nie zabrudzić opowiadania mojego słuchacza z kursu, gdy siada obok mnie pan z rudawosiwym zarostem. Ławka jest niewielka. Zalatuje od niego brudnymi włosami i zatęchłym potem, poza tym ów pan gada. Najpierw mam wrażenie, że rozmawia przez komórkę, bo mówi, milknie, znowu mówi, pyta kogoś, czy chciałby wrócić do domu. Dla pewności zerkam - nie ma komórki. Ponownie rzuca pytanie, dając sobie uprzejmie czas na odpowiedź. Widzę kątem oka, jak z kieszeni na piersi wyjmuje paczkę papierosów i szuka ognia w bocznej kieszeni kurtki, tuż przy kieszeni mojej kurtki. „Innym razem”, odzywa się. Nadal skupiam się na jedzeniu bajgla, mimo to ekstra dodatki spadają na stronę tytułową. W końcu pan wstaje, wyjmuje zapalniczki, zapala papierosa, po czym znowu siada na ławce. Po dwóch machach podnosi się. „No to do zobaczenia jutro”, powiada i odchodzi.

Gdy bajgiel jest zjedzony, grzebię w torbie, gdzie ledwie mieści się dwadzieścia, może trzydzieści kartek, zapisanych tekstem z pojedynczą interlinią i spiętych spinką do włosów, oraz wiele pogniecionych i poplamionych brązowych kopert, krótka koszulka (wszystko mogę wyjaśnić), brudne skarpetki, trzy szminki, tusz do rzęs, papierowa torba wypchana bibułkami, serwetki papierowe, dwie puste torebki plastikowe,

antologia poezji (należność została uiszczona), trzy terminarze z licznymi zapiskami i listami zakupów, rozmaite papierki zmięte w kulki, dwa długopisy, jeden z nazwą agencji nieruchomości w innym stanie, drugi z nazwą hotelu w Karolinie Południowej, a także kilka sztuców na wszelki wypadek. Jedna z moich przyjaciółek zawsze nosi w torebce Konstytucję Stanów Zjednoczonych, jeśliby znalazła czas, by ją przeczytać. Nie uchodzi mej uwadze to, że po raz drugi tego dnia przypadkowy obserwator mógłby uznać, iż lepiej unikać ze mną kontaktu wzrokowego. Chcę jednak sprawdzić, czy nie mam ziarenek maku między zębami, więc nadal przetrząsam torbę w poszukiwaniu lusterka. Jeszcze tylko tego brakuje, żebym znalazła plastikową łyżeczkę, a obmacując te rupiecie, zaczęłabym krzyżeć albo mamrotać pod nosem. Ale oto zbliża się mój kursant. Cóż, nie uśmiechnę się do niego, i tyle. Łaska boska, że zmieniłam skarpetki.

Po zajęciach, za piętnaście jedenasta, jadę metrem na Sto Jedenastą Ulicę, gdzie tego ranka zaparkowałam pod rusztowaniem samochód, myśląc sobie: *Que sera sera*, potem kupuję dużą czarną kawę i zastaję samochód nienaruszony. Jestem w swojej dawnej dzielnicy. Jedną przecznicę dalej wystawiono na sprzedaż obraz, który najpierw wisiał w moim mieszkaniu, a potem znalazł się na stoliku do gry w karty, umieszczonym przed sklepem Academy Hardware. Wiem, co się stało z tym obrazem, bo malarka znalazła go na ulicy, ponownie stała się jego właścicielką i zadzwoniła do mnie. Powiedziałam jej, że nie było moim zamiarem wyrzucanie malowidła, choć w istocie rzeczy właśnie tak się stało.

Gdy się wyprowadzałam, wyrzuciłam wszystko. Pamiętniki z trzydziestu lat. Nawet ten, który zaczynał się od słów: „Dzisiaj poślubiłam

mojego najdroższego” (lecz najpierw usiadłam na podłodze i przeczytałam go od deski do deski). Był okropnie osobisty i okropnie nudny, mniej pożyteczny niż szkolne bryki. Pełny luz! Wyrzuciwszy go na śmietnik, zaraz przypomniałam sobie, że sędzia pokoju się spóźnił, zabawa szła w najlepsze, a ja bałam się, że on nie przyjdzie, że zapomniał, że zgubił adres albo numer telefonu, że zachorował albo utknął gdzieś, że wziął nogi za pas. Rich objął mnie ramieniem. „Nie martw się”, powiedział. „Pojedziemy w podróż poślubną, a ślub weźmiemy po powrocie”. Czy to mnie pocieszyło? Na pewno pomyślałam: Miło z twojej strony, ale gdzie jest sędzia pokoju? Teraz myślę: O rety, jakiego sympatycznego mężczyznę poślubiłam.

Wracam do Woodstock, popijając kawę i słuchając Leona Russella na pełny regulator. Wchodzę do domu o wpół do pierwszej, witana przez trzy rozgorączkowane psy - po ogrodzie krąży dzikie zwierzę, więc trzeba się nim zająć. „Nic z tego”, mówię. „To sezon niedźwiedziej aktywności”. Wciągam w płuca nocne powietrze, kładę się spać ze swoim stadem i budzę się rano, mając odciętą przeszłość i niewyobrażalną dla mnie przyszłość.

2.

Z rana postanawiam przejrzeć rupiecie w torbie. Choć oddałam klucze do starego mieszkania, nadal mam na kółku cztery klucze, które nie wiem, do czego pasowały. Powinnam również je wyrzucić, ale nie robię tego. Być może któryś z nich otwierał sprzedany przed laty dom moich rodziców. Mojej siostrze śni się, że rodzice stają u niej na progu i pytają, dlaczego nie mogą wrócić do domu.

- Co im mówisz? - pytam przerażona.

- Pomijam ten temat. - Obie parszemy śmiechem. - Ale pewnej nocy przyśnili mi się młodszy wiekiem. Stali na podjeździe, ja też. Chcieli wejść do domu, na co powiedziałam, że nie było ich tyle czasu i ktoś inny w nim zamieszkał.

- I co dalej?

- Nie pamiętam.

- Jak wyglądali? Co mówili?

- To był sen. Obudziłam się.

- Ale...

- To był sen - powtarza moja siostra.

W ich ogrodzie rosła bardzo stara magnolia. Pamiętam, jak któregoś dnia, gdy większość grubych płatków opadła na ziemię, tworząc okazały, śliski dywan, stałam z moim tatą pod drzewem. „Oto przykład rozrzutności natury”, rzekł tato z pewną dumą, jakby to on odpowiadał za takie żywiołowe działanie. To stwierdzenie zapisało się w mojej pamięci razem ze słowami, które wypowiedział innym razem: że w naturze nic się nie marnuje, nie znika, wszystko jest wykorzystywane wielokrotnie, tylko w różnych formach. Czy ta druga wypowiedź rzeczywiście padła, czy też ją wymyśliłam? Po co zadawać sobie tyle trudu i w rezultacie jedynie wyniszczyć duszę?

**Część
piąta**

PIĘĆ LAT

Pewnego marcowego popołudnia, w czasie polegiwania, jak to mówił Rich, czuję, jakbym miała w piersi gorącą monetę, która wypala w moim ciele dziurę na wylot. To uczucie mija, gdy wstaję, ale potem wraca i raptem przeszywa mnie ból od ramienia do palców lewej ręki. W rezultacie dzwonię do lekarki, co do mnie niepodobne, a ta radzi mi przyjść i nie zmienia zdania, gdy chcę odwołać wizytę. Na pytanie o samopoczucie odpowiadam, że jestem stale zmęczona, ciągle śpię, nie cierpię myśleć, wobec tego zapełniam czas snem i oglądaniem filmów, a do tego czuję, jakbym miała w piersi gorącą monetę, nie mogę normalnie oddychać. Lekarka prosi, żebym opisała swój dzień, co zajmuje mi niewiele czasu. Chcąc poprawić jej nastrój, mówię, że rzuciłam palenie. Uważa, że podjęłam słuszną decyzję i pyta, co na nią wpłynęło. Opowiadam, że mój mąż jest w szpitalu i jakoś tak się stało, że postanowiłam przestać palić. - Jaki jest stan pani męża?

- To już prawie pięć lat...

Wybucham płaczem i nie mogę się pohamować. W słowach „pięć lat” pobrzmiwa coś stałego i niezmiennego.

Przyjeżdżam do Northeast Center. Rich wygląda dobrze.

- Ja się miewasz? - krzyczę mu do ucha.

Uśmiecha się.

Za dwadzieścia dziewięć dni minie pięć lat.

- Albo brak mi sił i bezskutecznie czegoś szukam, albo czuję się dobrze, nie wiedzieć czemu - mówi.

Uwielbiam, gdy się rozgada, gdy odpowiada na pytanie więcej niż

jednym słowem czy dwoma.

- Wspaniale. Jak ci się spało?

Już nie czuję się głupio, wykrzykując te proste pytania. Łatwo je usłyszeć i łatwo na nie odpowiedzieć.

- Nie mam kłopotów ze snem - mówi Rich. - Odtwarzam wszystko.

- Co odtwarzasz?

Ciekawe stwierdzenie, jest w nim coś nowego.

- Przebieg wypadku. Ale bez koszmarnych szczegółów.

- Co pamiętasz? - pytam wstrząśnięta.

- Nie pamiętam, że wyszedłem z psem.

Jeśli się nie mylę, Rich dotąd nie wspominał o wypadku.

- Dlaczego zacząłeś o tym myśleć?

Krzycząc, staram się zrozumiale wymawiać słowa.

- Bo leżałem tutaj.

Bo leżał tutaj sam, tak sędzę.

- Powiedz coś więcej.

Czuję, jak wali mi serce.

- Gdybym tylko mógł. Chciałbym mieć więcej do powiedzenia.

- Co jeszcze pamiętasz?

Muszę podtrzymać tę rozmowę, nie mogę dopuścić, by zapadło milczenie.

- W ogóle nie pamiętam, co się działo przedtem. Wiem tylko tyle, że staram się poskładać fragmenty przeszłości, bardzo niedawnej przeszłości.

- Jakie fragmenty już masz?

Rich sprawia wrażenie spokojnego, za to ja wcale nie jestem spokojna.

- Same następstwa. Nie pamiętam, że był pies, że za nim biegłem - to wszystko mi umknęło.

- Ale teraz to wspominasz.

- Wspominam te okoliczności, odkąd pamiętam.

- Co jeszcze?

Ten balon ma unosić się w powietrzu. Jeżeli dotknie ziemi, rozmowa się zakończy.

- Właściwie nic. Nawet nie pamiętam, że padało, gdyż wówczas postanowiłbym przeczekać deszcz, bo droga była nierówna.

Można by sądzić, że prowadzimy zwyczajną rozmowę.

- Zadawaj mi pytania, a ja będę na nie odpowiadać - proponuję.

Ponieważ Rich milczy, mówię dalej. Nagle zależy mi ogromnie na tym, żeby się dowiedział.

- Byłam na górze, gdy to się stało. Zadzwoił Pedro i pobiegłam do ciebie.

- Krzyknęłaś?

- Tak. Wiele razy.

Oboje milkniemy. Uświadamiam sobie, że to, co on usiłuje sobie przypomnieć, ja usiłuję zapomnieć.

Mija minuta. Pytam Richa, czy wie, jak długo jesteśmy małżeństwem.

- Około roku - odpowiada.

Kręcę przecząco głową.

- Siedemnaście lat - mówię. - Pobraliśmy się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym, a teraz jest dwa tysiące piąty.

- Abby - uśmiecha się - nasze życie toczyło się tak gładko, że dni

przemykały jeden po drugim.